Nr. 7. Lwów, dnia 1. Lipca 1885. Rok VIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

GEOGRAFIA ŁOWIECKA

PRZEZ

Dra J. Foichtingera.

Strefy łowieckie.

(Ciąg dalszy.)

3. Indye. Te nader rozległe przestrzenie należą do najważniejszych terrytoryów łowieckich ziemi, zasługują przeto na obszerniejszy opis. Indye składają się z dwóch różnych od siebie formacyi: z niziny indyjskiej i wyżyny dekańskiej. Nizina jest na zachodzie pustynią prawie aż do stóp Himalaja, tak zwany thar, właściwy jednak Hindostan składa się z ziemi nizinnej i pagórkowatej niesłychanej urodzajności. Wyżyny dekańskie mają średniej wysokości 2000′ i składają się po większej części z suchych nagich płaszczyzn, obramowanych od zachodu i wschodu lesistem pasmem gór Ghat, na północy wznoszą się góry Vindhya. Wielkie rzeki Godavery, Kistnah i Kawery rozlewają się po tej płaszczyźnie. Indyjska nizina mieści w sobie rzeki, wobec których europejskie są istnymi pigmejczykami. Brahmaputra i bliźni jej Ganges, obie wytryskając z lodowców Himalai, obejmują 1500 kwadratowych mil, zawierających deltę, mieszaninę niskich, gęstemi trawami i trzcinami porosłych wysp, siedzibę najstraszniejszych zwierząt łownych całej ziemi. Dalej w środku swego biegu przepływają te rzeki przez urodzajne okolice, w których ryż, bawełna, trzcina cukrowa, banany i palmy z olbrzymiemi drzewami leśnemi się mięszają. W tych to nizinach rozlegają się niezmierne indyjskie miasta, siedlisko prastarej cywilizacyi i mitologii. Również Indus wpada w indyjską nizinę, i tworzy wraz z swemi przybocznemi rzekami Pendschab, krainę wód. Wytryska on z pod lodowych szczytów gór Karakorum, w pobliżu źródłowisk Gangesu. Święte to miejsce dla Indów, siedziba ich bogów.

Kraina Pendschab nie wykazuje w faunie i florze właściwego typu indyjskiego, lecz raczej nosi na sobie cechę Persyi. Nie ma korzeni i trzciny cukrowej, słonia i tygrysa, natomiast jawią się palma daktylowa, wielbląd i lew. Indye są jednym z najstarszych, najbogatszych i najciekawszych krajów kulturowych na ziemi i od odległych czasów, jak wiadomo, główną podstawą i średnicą potęgi Anglii. Jej Himalaya mieści na szczupłym obszarze prawie wszystkie formy roślinności ziemi. Rośliny na jej płaszczyźnie dosięgają 5000′ wysokości, dalej następuje sfera leśna, dochodząca 9000′ wysokości, odpowiadająca swymi dębami, klonami, bukami i wiązami roślinności średniej Europy, po niej wznosi się las szpilkowy, a od wysokości 10.000′ aż ku kresom śniegowym hale alpejskie, pełne kwiecia podobnego alpejskiej Europy florze. Lasy gór Ghat są wspaniałe, dostarczają one angielskiej marynarce wiecznie trwałego

drzewa, a dalekie obszary przepełnione są drzewem sandałowem, dającem wonne kadzidło. Pobrzeża ozdobione są palmą kokosową i wachlarzową, a płaszczyzny wnętrza lasu dostarczają w porze deszczowej ryżu, prosa, bawełny, indigo, ingweru, w zimie zaś wszelkich europejskich rodzajów zboża i jarzyn. Mak dosięga tu wysokości 40′, banany *(ficus religiosa)*, z których jeden exemplarz może tworzyć las cały, drzewo chlebowe i mango obciężone są wybornym owocem, gaje palmowe otaczają wioski. W delcie rzek rozrastają się nieprzenikliwe lasy mangrowe, których korzenie zewnętrzne obwinięte są jak sznurem lianami. Zwierzostan Indyi jest niezawodnie najbogatszym na ziemi. Tu się rozwinęła przeważna część łowiectwa i przeniesioną została przez Persyę do Hiszpanii, Włoch i Grecyi. W Indyach zapewne pierwszego ujęto i ułaskawiono słonia i naprzód użyto jego zębów. Tu pierwotnie wół, wielbląd, koń i osioł poddali się woli człowieka, tu stoczył człowiek pierwszą walkę z najstraszniejszą z wszystkich bestyi, tygrysem. Potwór ów, zwany przez Indian „panem dróg i zwierząt“, ma średni swój punkt rozszerzenia w Dekan i rozdziela się ztąd aż do Altaju. Czyni on niektóre okolice Indyi niemieszkalnemi, szczególnie Molunghi, a solowarom w Dschunglach strasznie daje się we znaki. Liczne są też lamparty, niemniej słonie, których indyjska poezya zowie królami zwierząt. Szczególnie bogate w trzody słoni są Ceylon, Siam posiada wyrodka białego, którego świętą czcią otacza. Nasze zwykłe bydło wiedzie zapewne swe pochodzenie z Himalai i dziś jeszcze znajdują się tam cztery rodzaje wołów jakoteż religijnie czczony Zebu. Licznem jest również ptactwo, szczególnie z rodu kur. Nasza kura domowa, paw i pantarka pochodzą z Indyi. Z wielu względów szczególne zwierzę jest Gavial, krokodyl Indu.

Łowiec spotyka się w Indyach głównie z tygrysem, rynocerosem, słoniem, wilkiem, hyeną, bawołem i z nader groźnym gatunkiem dzika, a stąd można wnosić, że łowiectwo indyjskie wymaga silnych nerwów. Mniej groźną uciechę myśliwską daje polowanie na szakale, alligatory, lisy, jelenie i wszelkiego rodzaju ptactwo. Mieszkańcy tego kraju, Indowie, najstarszy i najliczniejszy z ludów na ziemi, obciężeni klątwą swego podziału na kasty jakoteż przygniatającym naciskiem tamującej wszelki rozwój religii, pogrążeni są obecnie w wstecznym kierunku cywilizacyjnym, a angielskie władztwo nad nimi wcale się nie przyczynia do wstrzymania procesu rozkładu. Kschatrya czyli kasta wojownicza wymarła prawie zupełnie. Wyłączne pożywienie roślinne, częste posty i biczowania, niezmierna mnogość eremitów, mnichy i zakony żebrzące tworzą tamę w utrzymaniu fizycznej i moralnej dzielności. Wszędzie wznoszą się ogromne świątynie, które bramani swoim bogom wystawili, jak olbrzymie świątynie w Ellorze, Salsecie i Elefancie, a nie mniej liczne są pagody czyli święte budowy, które wyznawcy Budy na cześć tego przeciwnika bramańskiego systemu religijnego powznosili. Jakkolwiek stosunki takie zdają się być nieprzyjaznymi dla rozwoju fizycznej siły i moralnych przymiotów, to jednak posiadają Indye osobny ród dzielnych myśliwych, zwanych Chiccarie. Są to ludzie, którzy nie należą do właściwej indyjskiej rasy, lecz do pierwotnej ludności drawidzkiej, zhołdowanej przez Indyan przy ich wkroczeniu w ten kraj. Rekrutują się głównie z gondów gór Vindhya, i odznaczają się wytrwałością i dzielnością, jakoteż znajomością obyczajów i miejsc pobytu rozmaitych zwierząt. Są to nie tylko urodzeni myśliwi, ale też najzręczniejsi poskromiciele zwierząt. Anglicy używają ich do swych wypraw myśliwskich z wielką korzyścią jako towarzyszów i do usług, a angielscy myśliwi nazywają siebie sami z przyjemnością Chiccariami. Równie zręczni w prowadzeniu słoni, jak w kopaniu dołów, w używaniu broni palnej i lancy, umieją po mistrzowsku śledzić tropy zwierząt i je wskazywać, orientować się w puszczy dschunglów i śród lodowców, wybierać miejsce na obozowisko. Zrodzeni w Indyach książęta, z których niejeden bajeczne posiada bogactwa, oddają się w najokazalszy sposób łowiectwu i utrzymują liczne zastępy prawdziwych lub wyrobionych Chiccariów.

Pochód indyjskiego myśliwstwa przechodzi wszystko, cokolwiek Europa w tym względzie wykazuje. M u n d a h opisuje łowy, które urządził król Nuseer-sod-den Uzder. Wcześnie rano dosiadło słoni całe grono myśliwskie, złożone z panów i pań, i ruszyło ku arenie, znajdującej się w środku parku. Stała tam olbrzymia klatka, zbudowana z wielkich pni bambusowych, 50′ wysokości i tyleż w przecięciu z siatką u góry, która służyła za dach. Drzwi zapadające prowadziły w koło do małych komórek, zawierających w sobie najdzikszych mieszkańców indyjskich lasów. W środku ogromnej klatki stała grupa olbrzymich bawołów z groźnymi rogami. Otworzono drzwi i wypadły dwa tygrysy, dwa lamparty, dwa niedźwiedzie na arenę. Bawoły uderzyły wnet straszliwie na niedźwiedziów, które wdrapały się na bambusy w celu ocalenia się od tak groźnych przeciwników. Tygrysy dotrzymały placu i walczyły, ale uległy wobec przemocy pięciu bawołów. Jeden z tygrysów skokiem wdarł się wprawdzie w grzbiet swego wroga, ale wnet zaatakowany przez resztę, ściągnięty został na ziemię i rogami tak zmaltretowany, że legł trupem. Drugi tygrys skaleczył straszliwie jednego z bawołów w szyję i rozpłatał grzbiet drugiego, lecz i ten ściągnięty, zbity, nie mógł już ataku ponowić. Lamparty zachowały się podczas walki spokojnie, trwożliwie unikały zaczepki i wcisnęły się w kąty. Po ukończeniu tej walki zwierząt dosiadło znowu towarzystwo słoniów, wspaniale ustrojonych, obwieszonych złotem i drogimi kamieniami i powróciło do królewskiego pałacu. Tu zastawiano wspaniałą ucztę, a gdy w końcu jej zdjęto białe pokrycie stołów, zaścielano je zielonem, na którem przepiórki z sobą walki staczały. Tego rodzaju rozrywka jest zwykłą u dostojników indyjskich, robią oni znaczne zakłady o swoje ptaki, podczas gdy sami rozkładają się w około stołu i palą kookah. Głównym przedmiotem indyjskiego polowania jest tygrys. Pokonać tego strasznego potwora, jest ostatecznym celem chwały indyjskiego myśliwego. Jak wszystkie drapieżne zwierzęta, nie atakuje tygrys człowieka prawie nigdy, jeżeli nie jest podrażniony lub głodem do tego zmuszony. Raz jednak zasmakowawszy w mięsie ludzkiem, przekłada je nad wszelkie inne pożywienie, a taki tygrys, zwany *man eater*, obiera dla siebie legowisko w pobliżu wsi i staje się prawdziwą plagą. Spożywanie ludzkiego mięsa zdaje się zaostrzać pragnienie krwi u tygrysa z ujmą dla wszelkich innych jego właściwości. Staje się mniej zuchwałym, a skóra jego jest jaśniejszą. Mieszkańcy takich wsi, w których pobliżu tygrys zamieszkuje, usiłują pozbyć się swego wroga przez nastawianie samołówek. Mają one kształt klatki z zapadającemi drzwiami z kozą lub psem jako ponętą, albo też tak są urządzone, że wielki, ciężki belek spada na tygrysa. Gdy tygrys rozszarpał swoją zdobycz, to nie wlecze jej zwykle pierwszej

nocy w głąb lasu, lecz wysysa krew i powraca do niej w drugiej nocy. To też jest jego zgubą. Uzyskuje się dosyć czasu do nastawienia samołówki lub do podrzucenia trucizny. Przy żerowaniu wzmaga się u tygrysa pragnienie, wiadro przeto wody, zaprawionej arszenikiem, przynosi mu często niezawodną śmierć. Innym przyrządem do ubicia go jest rodzaj samostrzału t. j. łuka z zatrutą strzałą. Pewien oficer angielski opowiada o następującym wypadku. „O 7. godzinie rannej wyruszyłem z moimi dwoma synami, z jednym Chiccarem i 50 tamtejszymi gońcami. Mieliśmy z sobą oszczepy i strzelby, a gońce tylko lance. Tygrys znajdował się, o czem nas uwiadomiono, w dolinie, o dwie mile odległej od naszego mieszkania. Gdyśmy w to miejsce przybyli, wypędziliśmy go z legowiska i spostrzegli pędzącego ku pagórkowi. Dążył on tam do ciernistego gąszczu. Kiedyśmy się do niego przybliżyli, wypadł nagle po mojej prawej stronie i chciał przez gońców przeskoczyć. Wtedy otrzymał trzy pchnięcia w brzuch i jeden w lewą łopatkę. Lance się połamały przy tem i uniósł jedną w łopatce. Pomknął ku gąszczowi, przyczem szarpnął jednego z ludzi. Było to już ostatnie jego dzieło, legł martwy. Pozbieraliśmy połamane lance, opatrzyli naszych rannych i odpoczęli przez godzinę. Silne wrażenie czynił widok konającego zwierzęcia. Ostrze utkwione w łopatce sprawiało mu srogi ból, usiłował wydrzeć je i ryczał strasznie. Udało mi się zajść mu z boku dogodnie tak, iż dokładnie go widziałem. Długość jego wynosiła 6 stóp, a wysokość 3 stopy i 3 cale. Tego rodzaju polowanie jest zawsze nader niebezpieczne. Goniec, którego tylko mimochodem targnął, miał dziesięć ran na głowie, na piersiach i lewem ramieniu, zadanych jednem uderzeniem pazurów“.

Chiccarowie wyprawiają się też na tygrysa z łukiem i strzelają z niego z całą pewnością. Łuk jest wielki, z silnego materyału, u niektórych z rogu bawolego. Czynią go trwałym przez napuszczanie i zdobią malowaniem. Zadziwiającą jest zręczność, z jaką się nim posługują. Wiliamson opowiada, iż rzadko chybiają przedmiot wielkości małego talerzyka z odległości 60—70 yardów. Był on świadkiem naocznym, jak pewien strzelec z takiej odległości trafiał kilkakrotnie do laski. Ubogi bengalczyk, znany między angielskimi oficerami jako wyborny strzelec, nie miał rąk, na jednem tylko ramieniu był jakoby kikieć. Przykładał łuk nogami, wytężał go zębami i kikciem wypuszczał strzałę z większą pewnością, jak angielscy oficerowie. Często podkradają się Chiccarowie pod śpiącego na słońcu tygrysa i ubijają go oszczepem. Również ulubionym rodzajem polowania jest strzelanie tygrysa z umyślnie na ten cel zbudowanego rusztowania, częściej wszakże używa się słoniów. Słoń nosi na grzbiecie właściwe siedzenie, tak zwane *howdah*, przeznaczone na umieszczenie strzelca i dwóch lub trzech strzelb, które zawsze ma przy sobie. Na szyi słonia siedzi naganiacz *(mahout)*. Tak postępują śród trawisk dschunglów naprzód, zawsze z wytężoną uwagą. Skoro słonie trąbę podniosą, wietrzą i nogą o ziemię tłuką, to już niezawodnie tygrys znajduje się w pobliżu. Z rozszerzonemi uszami, z małemi oczami bystro naprzód skierowanemi, kroczą te rozumne zwierzęta zwolna ale śmiało podnosząc nieustannie trąby.

Herber przytacza w swoim pamiętniku takie polowanie na tygrysa, które on odbył w towarzystwie raij z Kuleanpoor i panem Boulderson z liczną świtą pieszą i jezdną. „Słonie podniosły trąby, więc stanowcza chwila zdawała się bliską. Nie do opisania wzruszenie przejęło mnie i bez tchu prawie wpatrywałem się w gąszcz dschungli. Jestem bardzo blisko niego, rzekł p. Boulderson, strzelaj pan, nim się ukaże, skoro się trawa poruszy w jungli. W tejże chwili tupnął mój słoń niecierpliwie. Oto, oto, wykrzyknął mój *mahout*, widzę jego głowę. Dało się słyszeć krótkie mruknienie i widzę przed samą głową mego słonia ogromne zwierzę w trawie pełzające. Strzelam, a że poruszenie jeszcze widzę, strzelam powtórnie. Nastąpił silny mruk, a zwierzę znikło. Napróżno dwa razy przeszukaliśmy całą przestrzeń w wszystkich kierunkach, wykradł się jakimś dziwnym sposobem i nie ujrzeliśmy go już więcej. Pan Boulderson, wytrawny w łowach tygrysich myśliwy, mówił mi, że takie wypadki zdarzają się najczęściej w jungli. Rezultat długiego natężającego polowania bywa zwykle tylko czcze szukanie, zwierzę wykrada się nie wiedzieć gdzie. Gdy wszakże dobrze wymierzony strzał mu dokuczy, z rozpaczą szuka pomsty“. — Groźna część polowania na tygrysy poczyna się dopiero wtedy, gdy zwierzę widzi wszelką nadzieję ocalenia się udaremnioną, albo gdy po za junglą w otwartem polu bywa zaskoczone i nie widzi możności ukrycia się lub wykradzenia. W takim wypadku dzielnie naciera na przeciwników i umiera śród walki. Pierwsze natarcie tygrysa skierowane zwykle ku słoniowi i rzadko kończy się szczęśliwie. Rozumne to zwierzę wznosi najdelikatniejszą część swego ciała, trąbę, w górę i jest dosyć silne, by tygrysa z siebie zrzucić i pod nogi wtłoczyć. Wtedy słoń albo klęka na nim i rozmiażdża go od razu, albo przełamuje mu grzbiet i w pędzie odrzuca od siebie. Nie zawsze jednak przebieg tej walki jest pomyślnym dla siedzących na grzbiecie słonia. Zdarza się czasem, że mianowicie nowicyusze na widok strasznego przeciwnika z trwogi tracą przytomność, a wielkie, stare, doświadczone tygrysy skaczą też często w bok słonia, który w takim razie powala się na grzbiet, aby przeciwnika się pozbyć, można sobie wyobrazić, jak przyjemna to sytuacya dla zwierzęcia i myśliwego. Nieraz się już zdarzało, że myśliwy i tygrys w ten sposób przetworzyli się w jakąś zmieszaną, krwawą masę. Rany, zadane zębami i pazurami tygrysa, goją się w ogólności łatwo, jeżeli w jednej chwili śmierci nie przynoszą. Czasem jednak nawet mało na pozór znaczące rany przybierają przebieg groźny, jakoby były zatrute, podobnie jak skaleczenia od kotów.

Indyjski rynoceros różni się od afrykańskiego wielkością i budową zębów, zresztą ma on tylko jeden róg, podczas gdy afrykański często jest dwurożnym. Prawdopodobnie bajeczny starożytnych jednorożec niczem innem nie jest jak rynocerosem. Twardą jego skórę nie przenikną pazury tygrysa, ani też straszliwa trąba słonia, kula strzałowa odbija się bez skutku od niej. Zwierzę to w nieustannym jest wściekłym szale, a nawet słoń, jego najzacieklejszy wróg, ustępuje mu z drogi. Kapitan Wiliamson był nieraz świadkiem, jak trzody słoniów umykały, skoro jednego tylko z tych straszliwych potworów zwietrzyły. Major Sully z indyjskiej armii, patrzał raz przez dalekowidz na walkę między rynocerosem i słoniem. Widok to był przerażający, a kończył się ucieczką słonia. Major Smith biorący udział w polowaniu na tygrysy w towarzystwie europejczyków, spotkał siedm rynocerosów, które natychmiast rzuciły się na myśliwych i słoniów. Ostatnie zamiast użyć swych trąb, odwróciły się i pomknęły ile im sił starczyło, otrzymawszy w odwrocie niejedno uderzenie

*

dotkliwe. Skóra rynocerosa bywa z powodu swej nieprzenikliwości wysoko cenioną, a Chiccarowie oddają się z tego powodu z wielką gorliwością tym nader niebezpiecznym łowom. Strzelają z zasadzki, uzbrojeni w ciężkie strzelby, podobne do dawnych arkebuzów. Kule ważą zwykle trzy uncye, a lufy przy strzale kładą między kolce żelaznych, na kilka stóp wysokich wideł, które myśliwy przed sobą w śnieg wtyka. Strzał jest tak pewny, iż nader rzadko chybia. Mierzą w piersi lub łopatki, gdzie rana zawsze jest śmiertelną. Miejsce zasadzki jest tak dobrane, iż zwierzę do niego nie dostąpi i myśliwy czuje się bezpiecznym. Postrzelone zwierzę zachowuje się rozpaczliwie, tłucze ziemię, ryczy, rogiem rwie wszystko koło siebie i pędzi w ślepym szale. Przezorny Chiccary oczekuje spokojnie, aż się to wszystko skończy, wie on bowiem, że zbliżenie się do zwierza, nim ostatnie wyda tchnienie, jest nader groźnem. Czasem jednak ugania zwierzę kilka godzin, nim padnie martwe. Trupa wywożą woły. Koni używają w Indyach w ogólności tylko jeźdźcy, zresztą nawet martwy rynoceros trwoży konie i słonie tak bardzo, iż się do niego przybliżyć nie chcą. Stare, oswojone słonie bywają do tego doprowadzone, że się tego wstrętu pozbywają, ale dzieje się to z wielką trudnością.

Łowy na słonie odbywają się głównie w Ceylon. Według twierdzenia Tinlaisona jest ceyloński słoń największy. Ołowiane kule nie przynoszą na takich łowach wielkich korzyści, używa się przeto kul mosiężnych lub też ołowianych z przymieszką innego metalu, w celu zahartowania ich. Pułkownik Campbell opowiada w opisie swojej wycieczki do Ceylon, że nawet takiemi kulami z oddalenia 15 — 20 yardów nie osięga się pomyślnego skutku. Śmielsi myśliwi zbliżają się na 12 yardów do zwierzęcia, które bystro się w nich wpatruje, wtedy posyłają mu kule w oczy lub między oczy. Jeżeli strzały chybią, to zguba myśliwego jest prawie pewną. Często przyjmuje zwierz mnóstwo strzałów, nim trupem legnie. Cumming natarł w gęstej jungli na ogromnego słonia męskiej płci i walczył z nim od ½ 11 godziny aż do zachodu słońca i dopiero 56 kul zmogły przeciwnika.

Wilk jest w Indyach takim drapieżnikiem, jak w Europie. Szczególnie dla dzieci jest on groźnym, a w gromadzie staje się nim nawet dla dorosłych. Tygrys, pantera, lampart nie znoszą wilka w swojem pobliżu. Bywa on strzelany, łowiony w dołach i samołówkach lub też ścigany par force.

Hyena pojedyncza nie jest groźną, w gromadzie jednak bardzo niebezpieczną. Przebywa w jaskiniach podobnie jak wilk i w nich bywa przez mieszkańców poszukiwaną i łowioną. Porucznik Conolly był w północnych Indyach świadkiem takiej wyprawy. „Ludzie mówili, że chcą hyenę w jaskini pochwycić. Wyraziłem podziwienie z powodu tak trudnego i śmiałego zamiaru, ale odpowiedziano mi, że potrzebne są do tego tylko siła i przytomność umysłu, bo lubo hyena jest zwierzęciem bardzo dzikiem i niebezpiecznem, to jednak daje się z łatwością przerazić. Wskazano mi pewnego Syouda Daouda, który w jednym dniu w taki sposób trzy hyeny złowił. Kto nie posiada chłodnej krwi i przytomności umysłu, niech raczej się nie waży na takie przedsięwzięcie, cięcie bowiem hyeny jest śmiertelnem. Syoud Daoud opisywał mi swoją metodę w taki sposób. Gdy hyenę w jej legowisku wyśledzono, bierze się sznur z dwoma węzłami w prawą rękę, lewą zaś ręką trzyma się płachtę przed sobą i kroczy śmiało i spokojnie w jaskinię. Zwierzę zdziwione tem i przerażone cofa się w głąb, ale w ciemności świecące oczy jego wskazują miejsce, gdzie się głowa znajduje. Wtedy na klęczkach trzeba się zbliżać ku hyenie. W odpowiedniem oddaleniu rzuca się szybko płachtę na głowę i uważa, aby się z niej nie wydobyła. Przerażone zwierzę po krótkiem wysileniu przyczaja się, wtedy należy prędko działać, nim płachtę przegryzie. Wiedząc, gdzie są przednie łapy, rzuca się węzły w koło nich, a sznur na kark, silnem pociągnieniem ściąga się głowę ku łapom i wiąże się mocno — i oto już złowiona“.

Łowy na indyjskiego dzika wymagają wytrwałych i wytrawnych myśliwych. Zwierzę to mieszka w junglach i żywi się płazami, korzeniami i owadami. Często wychodzi z nich ku łanom ryżowym i cukrowym, gdzie wyborne znajduje ukrycie i nie łatwo z niego może być wypędzone. Przy polowaniu z nagonką gońcy nie dalej jak o 5 — 6 stóp mogą być od siebie oddaleni, w przeciwnym razie zwierz zwykle umyka, ma bowiem zwyczaj przyczaić się i gońców przepuścić. Zresztą należy utrzymywać prostą linię, aby zwierz zmuszony był naprzód postępować. Każdy goniec opatrzony jest laską bambusową, niektórzy bębnami i trąbami. Myśliwi stoją w przeciwnym kierunku na polu lub na zagięciu tak, że widzą zwierzę wymykające i mogą je prześladować. Odyńce już polowane przenikają jednak plan, zbliżywszy się do pola wracają i przebijają się przez gońców. Wiedzą dobrze, gdzie prawdziwe znajduje się niebezpieczeństwo, pędzą na oślep i takie sprawiają przerażenie, że gońcy rozprószają się a polowanie nie osięga celu. Woły w pługu zrywają się i w pędzie rozbijają pług, parobcy i woźnica po drogach uciekają widząc pędzące zwierzę rozszalałe. Ludzie przy studniach, w pobliżu pól cukrowych, nie pomnąc na niebezpieczeństwo w rozpaczy spuszczają się do studni, a tak jeden odyniec szerzy na dalekich obszarach trwogę i przerażenie. Głównymi warunkami dla myśliwego w łowach tego rodzaju są szybka ręka, pewne oko i koń rosły. Ostatni z tego powodu pożądany, że dzik w trawie jungli, często na pięć stóp wysokiej, łatwo ukryć się zdoła i nie bywa dostrzeżony, jeżeli z dostatecznej wysokości nie przegląda się całej przestrzeni i nie widzi w niej wszelkiego jakiegokolwiek poruszenia. Jazda jest mozolną i niebezpieczną. Tamtejszy wyborny grunt jest według doświadczeń Johnstona, o wiele groźniejszym, jak najgorszy teren łowiecki europejski. Najdzielniejsi nawet jeźdźcy uczuwali tam pewne zaniepokojenie. Korzenie i rośliny wijące się nie dozwalają koniowi swobodnie postępować. Prócz tego skwar czyni głębokie rysy w wyschłej ziemi, które szybkie pomykanie konia utrudniają. A najgroźniejszem jest to, że te rysy nie łatwo mogą być dostrzeżone, okryte są bowiem trawą, wysokości człowieka, a gdy koń w nie zapadnie, to kręci kark, lub pokaleczony leży bezwładny w cierniach i staje się śród roślin pełzających pastwą gadów jadowitych, które w tych rysach ulubioną zakładają siedzibę. Można też wpaść w dół bawoli, naszpikować się i zapoznać z bliska z ich rogatymi mieszkańcami. Niemniej przykrem jest spotkanie goanchów, korzeni laskowatych na dwie stopy wysokich, pozostałych po spaleniu pól, również upadek w studnię lub do nulli, czyli w wyschłe łożysko potoku, zwykle znacznej głębokości. Głównym warunkiem powodzenia polowania jest, aby jeźdźcy boki pola dobrze oskrzydlili i aby gońcy milczkiem w pobliże

zwierza się dostali, gdy bowiem zdala wrzawę usłyszy, wykrada się natychmiast. Nie da się opisać wzruszenie, jakie myśliwego przejmuje, nawet najdzielniejszego, gdy siedząc na koniu u brzegu łanu cukrowego w każdej chwili wyczekuje pojawienia się groźnego zwierzęcia. Słyszy rechtanie, łamanie trzciny, może nawet nawoływanie gońców: „*Burrah suer*“ (stary odyniec). Wypuszcza się go z trzciny cukrowej na otwarte pole i wtedy dopiero rusza najbliższy jeździec niezbyt pospiesznie. Dopiero w oddaleniu $^1/_4$ mili angielskiej wypuszcza konia do szybkiego pędu i zwraca uwagę na wszelkie poruszenia zwierza. Gdy spostrzeże, iż wolniej idzie, to powinien być przygotowanym na rozpaczliwy atak na konia, w każdym razie niezmiernie niebezpieczny, zwłaszcza, gdy koń w pełnym znajduje się pędzie. Wtedy najlepiej powstrzymać konia i uzyskać dalszy odstęp od dzika. co atakowi zapobiega. Gdy zwierz widzi, że koń ku niemu się nie zbliża, to znowu naprzód pędzi, wnet tchu mu braknie, a jeździec może bez obawy ataku następować. Wpada więc nagle, razi oszczepem dzika i umyka natychmiast. Gdy więcej jest jeźdźców, drugi ponawia bezzwłocznie cios, dwaj inni oskrzydlają zwierzę, aby mu przeciąć drogę do ucieczki w bok. Sztuka władania oszczepem jest właściwą chwałą myśliwego w łowach na dziki. Wiele tu trzeba mieć przytomności umysłu, pewne oko, zręczność, szybkość, silną i wprawną rękę, życie myśliwego i konia zwykle wisi w takim razie na cieniutkim włosku.

Indyjski bawół, przebywający w południowej Azyi jakoteż w Chinach, jest straszliwem zwierzęciem, podejmującem walkę ze słoniem. Poluje się na niego tak jak na tygrysa z pomocą słonia. Kulą chyba wielką i w odpowiednie miejsce korpusu wymierzoną, można kres położyć jego życiu, w przeciwnym razie tylko go drażni. Strzał przeto musi być bardzo rozważny, ile możności bliski i dobrze wymierzony.

Niedźwiedzie są w niektórych częściach Indyi pospolite mimo zaprzeczenia, iż wcale ich tu niema. Kapitan Wiliamson stwierdził ich bytność własnem doświadczeniem. Przywodzi też Johnson szczegóły łowów na niedźwiedzie. Wymieniane nawet bywają trzy rodzaje niedźwiedzi w indyjskich wysoczyznach; *ursus labiatus*, malajski i tybetański. Żywią się ziołami i owadami i chwytane bywają w samołówkach i sieciach, ponieważ uprawie cukru wiele szkody wyrządzają. Myśliwi atakują niedźwiedzia pieszo lancą, ścigają go *par force*, ubijają strzałami, nie każdy bowiem koń zbliży się do niedźwiedzia na taką odległość, iżby oszczep mógł być użyty. Ze słonia może on być na pewne lancą atakowany, ale dowodniejszą jest broń palna. Często zjawia się owo zwierzę w biały dzień w pobliżu ludzi. Pewien anglik podróżował w okolicy Midnapoor na noszach pocztowych. Nagle uczuł, iż palankinę gwałtownie na ziemię rzucono, wygląda z niej i widzi przed sobą wietrzącego niedźwiedzia. Lecz i kudłaty towarzysz spostrzegł go i wdarł się przez drzwi palankiny do jej wnętrza. Nasz podróżny wyrwał co rychlej u góry jej kilka bambusów i wysunął się. Ale niedźwiedź poszedł za nim i rozpoczęła się walka między nim i anglikiem, dobrze wyćwiczonym w sztuce obrony własnej, której przyklaskiwali indyanie, przypatrujący się z bezpiecznego oddalenia tej nader ciekawej scenie. W końcu wyszedł niedźwiedź z walki zraniony, ale i gentleman nosił na twarzy ślady jej.

Szakal bywa przez Anglików w Indyach zwykle psami goniony. Szakale wspierają się wzajemnie, i gdy jednego się goni, jawi się ich tak mnoga liczba, że grono łowieckie zamienia się w przedmiot goniony, a psy bywają tak maltretowane, iż przez kilka tygodni nie mogą być użytymi.

Polowanie na alligatory odbywają zwykle rodzimi żołnierze indyjskich pułków dla rozrywki angielskich przełożonych. Łowy te dają obraz wielce charakterystyczny lubo pod względem estetycznym wcale nie powabny. Cały pułk zrzuca odzienie aż do krótkich spodni i pary sandałów. Każdy żołnierz ma w ręku drąg z wetkniętym u góry bagnetem, a w lewej ręce malajski puginał. Tak uzbrojeni wchodzą w błotniste stawy i kanały, gdzie, jak wiedzą, przebywają alligatory, z dwóch przeciwnych stron w zwartych potrójnych szeregach. Wrzeszczą przytem przeraźliwie i nieustannie wbijają swe piki w błoto. Wypłoszone zwierzęta umykają ku środkowi kanału, gdzie ze wszystkich stron bagnety w błoto je wpychają. Gdy już wszystkie alligatory głęboko w błocie się zanurzyły, ożywia się najwyższa radość malajczyków. Przemawiają do nich patetycznie i dziwne z nimi wyprawiają hece. Niektóre alligatory usiłują przebić się przez zwartą falangę swych zaciekłych przeciwników, przyczem niejeden żołnierz bywa obalony, jego pika połamaną z wielką uciechą towarzyszów, którzy przerwany łańcuch natychmiast zapełniają. Rany są gęste, ubicie rzadkie. Nieraz kilkunastu żołnierzy szpikują jednego potwora i wyrzucają go po nad swemi głowami na brzeg. Ów grad alligatorów sprawia na nowicyuszach europejskich niemiłe wrażenie i łatwo można zrozumieć, że oni przy takiej scenie zdala się od niej trzymają. W końcu są wszyscy żołnierze niezmiernie znużeni i zbłoceni, a niejeden mniej lub więcej skaleczony. Mniej poruszający sposób ubijania alligatorów polega na tem, że hakami wyciąga się ich na brzeg, na którym wisi kawał mięsa jako ponęta, poczem lancami i drągami bywają z łatwością ubijane. Pospólstwo indyjskie spożywa mięso alligatora nader chętnie.

Lis jest wprawdzie w Indyach bardzo pospolitym, ale bywa mniejszy i mniej rączy, jak nasz. Barwa jego przechodzi w szarawy, a ogon jest czarny i puszysty. Ściganie z powodu jego słabej rączości nie daje wiele przyjemności. Ciekawe są lisy latające. U tylnych łap, opatrzonych w długie i ostre pazury, mają błony lotne, z których pomocą uczepiają się silnie na drzewach. Tak przesypiają dzień cały, głowę ukrywszy pod korpus. Pułkownik James Campell zapewnia, iż nieraz naliczył ich na jednym pniu do 50 sztuk. Jeden strzał spuszczał nieraz pięć sztuk mniej lub więcej zranionych. Zwierzęta te są nader dzikie i srodze kaleczące.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WSPOMNIENIA MYŚLIWSKIE

MARCELEGO hr. TYSZKIEWICZA.

(Dokończenie.)

Pisząc o polowaniach nie mogę przemilczeć o sławnym naszym myśliwym chorążym Sienińskim, którego pamięć jeszcze przez długie lata żyć będzie na Ukrainie. Chorąży urodził się około 1770. roku, umarł w roku 1874. Był on małego wzrostu, silny tak, że jeszcze jako 60 kilkoletni starzec mocował się z nami młodymi i mało było jemu równych. Do końca życia jeździł konno, z chartami i z gończymi polował. Zawsze na nogach, a gdy go proszono siedzieć, mawiał, że jak umrze, to dosyć będzie miał wypoczynku. Łóżko jego było przykryte końską skórą z włosem wyprawioną i charcica faworyta spała w dzień na łóżku, a w nocy na niedźwiedziej skórze koło łóżka, na polowaniu sam ją zwykle wodził na smyczy. Całe jego życie było do polowania zastosowane i tak dom, jak stajnia, nawet gospodarstwo, które pomimo myśliwstwa dobrze było prowadzone. Był sławnym rębaczem z czasów Kościuszkowskich i jeszcze jakem ja go poznał koło roku 1850, to mało kto mu zrównał, a pałasz jak błyskawica latał w jego ręku. Na wilki polował po całej Ukrainie, z ganku swego dawał sygnał trąbką i w pół godziny 50 ludzi było gotowych wyruszyć choćby i na dwa tygodnie z domu, wozy z sieciami gotowe, gończe do furgonu, dojeżdżacz na kozioł, a jego koń osiodłany biegł jak pies za nim. Gości u chorążego było zawsze huk, ale tylko dobry myśliwy miał mir u niego. Chorąży bardzo mnie lubił. Nigdy nie zapomnę podróży mojej z ojcem do niego, był to dla mnie feralny dzień, jechaliśmy przez Szeremiowiecki las, gdzie dawniej było dużo cietrzewi, wtem widzimy na dębie siedzące wrony, mój ojciec, któremu wzrok już niedopisywał, a imaginacya nabiła cietrzewiami, które przed laty tam strzelał, porywa za strzelbę i każe furmanowi podjeżdżać, ja mówię że to wrony, ale nieodpowiada. — Tymczasem podjeżdżamy i kra — kra — zrywają się z dęba, potem gdzie tylko zobaczyłem wrony, mówię: „Ojcze, cietrzewie!“ ojciec nic, nakoniec podjeżdżamy do wsi i na chałupie siedzi wrona, ja znowu: „Ojcze, cietrzew!“ to już przebrało miarę cierpliwości i jak ojciec huknie na mnie: „A milcz smarkaczu! a szacunek dla ojca!“ tom już siedział zmięszany przez całą drogę. Ale nie na tem koniec mojej biedy, przyjeżdżamy do chorążego, ja wyskakuję i rzucam się w objęcia gospodarza, a tu z tyłu za mną głos ojca znowu: „A smarkaczu, a w ramię starszych ludzi, ale nie w twarz całować!“ Chorąży jak mógł poczciwemi słowami zaczął mnie uspokajać, ale dosyć na tem, że jednego dnia dwa razy dostałem burę od ojca i chociaż dziś już sam stary jestem, ale jak się witam z starym człekiem, zawsze go w ramię całuję, tak mi ta nauka w pamięci utkwiła. Chorąży Sieniński był bardzo prędki. pamiętam raz jak na polowanie wilcze wprosił się pop do niego, który jeszcze nigdy wilka nie widział, a stał koło chorążego, wtem idą do popa na kulawy sztych trzy wilki, pop stchórzył i dalej przysiadać, wilki w bok poszły, a chorąży strzela do popa i wsadza mu trzy lotki poniżej krzyżów na jakie sto kroków tak, że popa musieli z polowania wprost do miasteczka do cyrulika odwieźć i operacya nieźle się udała Zawsze młodych upominał, żeby w czasie zakazanym nie polować mówiąc, że będąc dzieckiem i polując z gończymi na wiosnę, wychodzi na niego ogromny zając, którego zabija, i była to zajęczyca z której dziesięcioro małych wyrzucono.

Chorąży sąsiadował z Tadeuszem Chojeckim, obydwa byli zawołanymi myśliwymi i najczęściej razem polowali po całej Ukrainie, szczególnie na wilki. Nasłuchałem się ja od ojca mojego o różnych przygodach myśliwskich, w których brał udział, bo ja zacząłem dopiero polować, gdy oni już kończyli. Słyszałem, że raz do świtu wilki odezwały się pomiędzy dwoma miotami i nie można było wiedzieć, w który weszły, obydwa razem nie można było obrzucić, bo byłoby nie wystarczyło sieci, więc na chybił trafił rzucono jeden i puszczono cicho, bez trąbienia, stare psy, które nic oprócz wilka nie goniły, a na drugiej stronie gdy miot przeszły, można je było wyłapać. Tak się też stało, obrzucono jeden miot i puszczono psy cicho, wtem pies nazwiskiem Pec, natrafia na całe gniazdo wilków, zajadających krowę i tylko co się rzucił i odezwał głosem, w tejże chwili został rozdarty. P. Tadeusz, który zawsze konno ze strzelbą prowadził polowanie, wystrzelił na wiatr dwa razy, zatrąbiono i zaczęła się muzyka, ale pies już nie żył. Trzynaście wilków padło w półtory godziny, wilczyca zaś stara przebiła się przez sieci, ale p. Tadeusz kazał za nią puścić troje najlepszych psów, Kondrat dojeżdżacz pojechał za nią i dopiero nad wieczorem skłuł ją na rzece. Słyszałem z ust chorążego, że szczuł chartami Rossomachę, miał on wtedy, jak opowiadał sławne charty do zająca i lisa a polował z gończymi w łozach, na polu zaś stał z chartami, wtem wymyka coś, niby wilk bo siwe, tylko całkiem wysmukłe z długim pyskiem i mniejsze od wilka. Hajż-go! i to notabene z bliska poszczuł, ale to coś siwego w mgnieniu oka odsadziło się na jakich trzysta kroków od chartów i tak ze trzy wersty poszło do lasu. Mówił on, że dawniej na Ukrainie były jeszcze ogromne lasy, w których znajdowały się Rossomachy, dużo bydła od nich ginęło. Takie zwierzę rzucało się z drzewa na woła, wpajało mu się w zad pyskiem i wyciągało wszystkie kiszki. Czy to być mogło, nie wiem, ale jak mi opowiedział, tak Wam powtórzyłem. O chorążym mógłbym jeszcze dużo pisać, lecz wolę na tem poprzestać, żeby nie nużyć moją bazgraniną łaskawych czytelników.

Po chorążym i P. Tadeuszu wziął berło myśliwstwa na wilki Seweryn Abramowicz, u którego polowania lepiej są prowadzone, jak u hr. Branickich. Wziął on w spuściźnie po nich Kondrata, a ludzie do sieci są tak wprawni, jak mało. Próbkę podaję na polowaniu w Stepankach. Majątek ten leży blisko Kijowa, gdzie lasy milami się ciągną. Kondrat świtem obwabił 7 wilków, o dziesiątej rzucono siecie, o jedenastej rozstawiono strzelców, zatrąbiono, puszczono psy i zaraz muzyka się zaczęła, która ze dwie godziny trwała. Ale o dziwo! żaden strzał nie pada, nakoniec psy ucichły, trąbią pojezdne, zbieramy się, każdy się pyta, co się stało z wilkami, a nikt nie wie, aż nad-

jeżdża Kondrat, obsypują go pytaniami, gdzie są wilki, „a niosą“ odpowiada, i rzeczywiście ludzie od naganki przywlekli dwa stare i pięć młodych wowyrów, które wszystkie były pobite w sieciach. Był tam taki mokry ług, którego musiano sieciami przeciąć, gdyż strzelcy stać nie mogli, a że waga tamtędy była, więc każdy goniony wilk wpadał w sieć i zaraz łupu-cupu. Stary wilk był niewielki, lecz tak dużej głowy nie zdarzyło mi się widzieć, prawdziwy swynohryz, ogromne szkody robił w okolicy, prawdziwym był postrachem. U jednego gospodarza zadusił 6 wołów i kiedy przed gankiem je złożono, nadszedł właściciel zaduszonych wołów, poznał go i prosił, żeby choć po śmierci mógł swoje krzywdy odbić, biłże go potem z takiem zapamiętaniem, że aż osłabł. Następnych dni polowaliśmy w rządowych lasach i przez dziesięć dni wiele tam wilków padło, ile, już nie pamiętam. Z tego polowania zostały mi w pamięci dwa wypadki t. j. niespodziewany dzik w miocie, który wystraszywszy jednego myśliwego, przeszedł przez sieć jakby jej nie było i nawet w proporcyi małą dziurę zrobił, a drugi, że wyjechawszy z domu czterma końmi, wróciłem trzema, a czwartą klacz orczykową odesłali mi dopiero we dwa tygodnie potem. Było to tak; po polowaniu zaprosił nas rządowy nadleśniczy do siebie na obiad i kiedyśmy obiadowali w domu, furmanów zabrali także na jedzenie do kuchni, konie na podwórzu stały zaprzężone. W tem moje konie czegoś się nastraszyły i poszły przez wieś do lasu, a wpadłszy na wąską drożynę, w ogromnym pędzie leciały. O tysiąc kroków ztamtąd znaleziono prawego orczykowego konia zaczepionego o drzewo, dalej trochę dwa dyszlowe z wózkiem, a lewą orczykową klacz z dzwonkami nie mogli znaleść i dopiero w dziesięć dni potem wychudzoną, bez niczego, jakiś pobereżnik leśniczemu odprowadził, a on mnie odesłał. Było tam dużo wilków, ale widać dobrześmy ich przepłoszyli, kiedy jej nie zjadły.

Miłe i rozkoszne jest polowanie z gończymi ale powiem, że i niezbędne u nas na Ukrainie, gdzie mamy dużo oczeretów i burzanów. Tam już z naganką nic zrobić nie można, zwierz się trzyma wierzchowin stawów, okopanych i zasadzonych łozą, a obsadzonych naokoło wierzbą i topolą. Wilki i lisy trzymają się suchego gąszczu, mają spokój i konieczną dla siebie wodę, ale gonione idą na spławy, z których tylko mogą je psy ztamtąd wyparować, i choć można polować ze strzelbami, ale my najczęściej obstawiamy taką knieję szczwaczami i jak psy gończe dobre, to wszystko w trokach. Przypominam sobie takie śliczne polowanie u mnie w Puzereckiej Rudzie. Jestto staw duży, młyny i grobla na rzece Hujwie, ponad stawem z jednej strony wieś, dalej folwarczne zabudowania, oddzielone od wsi rzeczką poboczną. Tu już spławy i oczeret dopiera, za folwarkiem pole i druga rzeczka wpada, trzecia zaś i to właściwe koryto rzeki, idzie wprost z wsi Górowiec, tam już czysty step. Na drugiej stronie stawu i Rudy są pola i jest tam góra Łysą zwana, która panuje nad całą okolicą, tam to zwykle panie i panowie konno i powozami się zjeżdżali, a każdego szczwacza widzieć można było z tego miejsca, nawet lisa i gończe na spławach.

Było to w jesieni, dzień był piękny i cichy, psy gończe były moje i Konstantego Mazarakiego, szczwaczy było kilkanaście moich i łaskawych sąsiadów. Przyjechaliśmy więc do Puzyrek, podzieliłem szczwaczów przeznaczywszy każdemu miejsce, gdzie ma stać i z jedną częścią pojechaliśmy przez wieś, groblą aż na Łysą górę, druga zaś pojechała przez folwark, mostek, żeby się rozstawić w umówionych miejscach. Każdy z szczwaczów stał przy samej rudzie, siecie już były rzucone od rzeczki z za folwarku, ponad oczeretem przez rzeczkę, co oddziela folwark od wsi, aż do samej grobli, gdyż lisy gonione szły przez wieś a nawet się kryły do stodół chłopskich. Z góry krzyknąłem, żeby puścili gończe Konstantego, podprowadzono je więc wprost do oczeretu i puszczono, chwilę potem zaczęły gonić, raz jeden tylko lis przeszedł rudę, wytknął na nas, zawrócił i w chwilę potem wyszedł w pole koło szczwacza Łucyana, ten go wypuścił z jaką werstwę, poszczuł, a my nie ruszając z miejsca widzieliśmy, jak srokaty pies pierwszy go doszedł, obrócił i jak lis wspiął się z nim na łapy. Wtedy drugi chart porwał go z tyłu i rozciągnęli, szczwacz go odharapował, przytroczył i kłusem wrócił na swoje miejsce. W tym czasie i gończe były wyszły za lisem, lecz konny dojeżdżacz je zawrócił napowrót do rudy, a pieszy w oczerecie je nawołał i znowu trafiły na drugiego, ten wyszedł na drugą stronę i był wzięty przez białą moją suczynę. Znowu podłożono psy, zaczęły gonić, lis rzeczką zaczął się wykradać, poszczuto go młodymi chartami, a ten w obrotach wpadł napowrót do kniei. Psy gończe się skupiły i szły prosto na spławy, wtedy to prześliczny mieliśmy widok, bośmy widzieli płynącego lisa włażącego na spław, a za nim psy i te głosy płynących psów bardzo zabawnie odbijały. Wodziłże on z półtory godziny psami i nakoniec był przez nich wzięty. Potem psy wyłapano, wzięto na sfory, myśmy zjedli śniadanie i kazałem puścić moje gończe. Uszczuto znowu kilka lisów, zdawało się że już więcej niema, kiedy po kwandransie ciszy usłyszeliśmy psa, jak porwał na oko. Znowu się psy skupiły, że aż oczeret trzeszczał, już się miało ku wieczorowi, lis stary w pole wyjść nie chciał, psy pomęczone, więc krzyknąłem, żeby puścili Belfę, moją legawą angielską sukę, o której już wspominałem dawniej w „Łowcu“. Puszczono, ta cicho doszła do gończych, ale z szybkością wielką, widać to można było po ruszaniu się oczeretu i cienki jej głosik w moment naprzód oddalił się od innych, dosyć że w pięć minut lis był już na wierzchu, poszczuty Lucyana chartami wkrótce był wzięty.

Polowanie z gończymi nie potrzebuje takiego przygotowania jak z naganką, bo chcesz zapolować to i po obiedzie każesz psy zabrać na sfory do wózka i w pół godziny masz już muzykę i emocyą. Albo przyjeżdżasz do sąsiada, w moment projekt jest zrobiony i polujesz, kiedy z naganką zawsze trzeba przygotować, zamówić naganke, zawsze najmniej ze sześciu strzelców zaprosić, a potem czekaj nim naganka dojdzie, nim zajdzie, a czasem czeka się parę godzin, trąbisz, posyłasz, bo gajowy nie zrozumiał i wziął inny miot. Niechajże panowie myśliwi trzymają przynajmniej taksy, nie będą to łowy, jakie dawniej bywały z ogarami i sieciami, ale za to ręczę, że i najwięcej znudzonego myśliwego (a o takich nietrudno u nas) do żywego poruszą, chyba już i kropli krwi łowieckiej niema w jego żyłach. Taksy doskonale gonią i czem więcej z nimi polować, tem są lepsze, tak samo jak i z gończymi się dzieje. Taks powinien być czystej krwi niemieckiej albo angielskiej, wolę jednakże angielskie, co są mniejsze, a jak wiatr dobry to tak jak i ogary nosy w górę i idą ławą. Sarna przed nimi okłada jak zając, nic się nie boi. Widziałem na własne oczy, jak tupała nogą na taksa, kiedy

ten w najlepsze gonił i był już o 50 kroków od niej. Lis przed tymi pieskami nawet i do nory się nie skryje, ale co najciekawszego wam powiem, to że i do dzika są wyśmienite, kiedy są uszczute. Świadczę się hr. Kazimirzem Wodzickim, który mi mówił, że polował z taksami na dziki i były doskonałe.

Jedna tylko bieda, że gończy nie zna się na piśmie i gdy zwierz przejdzie granicę, nie spojrzy, że na tablicy jest napisano: „Nie wolno polować“, ale taks tak pomału goni, że go piechotą można zawrócić, a ruch taki jest lepszy, jak z naganką, płuca młode się wyrabiają, stare konserwują i powiem, że to jest recepta na wszystkie astmy, chroniczne katary, kaszle i wszelkie inne przypadłości, których stary myśliwy z gończymi nie posiada, żyje długie lata, zdrów, wesół, przy dobrym apetycie i smacznym śnie, krzyże go także nigdy nie bolą, chociaż foteli czy tam krzesełek nie zażywa na polowaniu. A więc jeżeli miejscowość na to pozwala, radzę, trzymajcie taksy i ręczę, że podziękujecie staremu myśliwemu.

Dnia 23. Kwietnia 1885. r.

OBŁĄKANY?

PRZEZ

WŁADYSŁAWA CZAPLICKIEGO.

Dając powyższy nagłówek, zamiast kropki zwyczajnej, umieściłem znak zapytania. Uczyniłem to nie bez przyczyny, a mianowicie dla tego, że nie czuję się kompetentnym do wydawania diagnozy o stanie zdrowia człowieka, który ma być bohaterem niniejszego opowiadania, wziętego z życia jednego z naszych towarzyszów niewoli w Syberyi. Nie będąc lekarzem mniemam, że będzie może właściwiej, jeżeli ocenienie tego pozostawię czytającej publiczności. Opowiem fakt nagi, prawdziwy, bez przesady i nie jak to mówią po myśliwsku, a wymieniam przy tem imiona i nazwiska osób tudzież miejscowości wchodzących w skład tej opowieści.

Zesłany w Sybir, przerzucany bezustannie z powiatu do powiatu, z jednego miejsca na drugie, to na północ, to na południe, wysłany byłem pomiędzy innemi i do wsi Mazule o trzy wiorsty od powiatowego miasteczka Aczyńska. Mieszkałem w domu Pawła Michajłowicza Sosnowa, człowieka bardzo zacnego jak jego cała rodzina i co zdarzało się rzadko, nieoddającego się jak inni nałogowemu pijaństwu. W jego domu i całem jego gospodarstwie był ład i porządek, a z wszystkiego widać było dostatek i zamożność: piękne, śliczne bydło, wiele ładnych, dzielnych koni, odpowiednią uprząż, tarantasy, telegi, zwykłe sanie i koszowe, w ogóle żywy i martwy inwentarz jak u nas chyba u obywatela zamożnego, a nadto acz drewniany, ale piątrowy dom, wschody i podłoga wyłożona dywanami, w mieszkaniu meble wprawdzie nie zbytkowne ale porządne lakierowane wszystkie na ciemno zieloną barwę, co bardzo ładnie odbijało od ścian lśniącej białości, nakoniec serwis dostateczny na kilkanaście osób porcelanowy i srebrny, wyzłacany z emalią ciemno-niebieską. Chociaż to był zwyczajny wieśniak, cała rodzina umiała czytać i pisać, dorosła córka Awdotia Pawłówna haftowała pięknie, a w każde święto lub idąc w gościnę, przywdziewała materyalną suknię i bez rękawiczek nie ukazywała się na ulicy a po największej części nosiła je nawet i w domu. Do dwóch chłopców, synów Sosnowa, osobno rano i po południu dochodził nauczyciel, w wiosce bowiem nie było szkoły gminnej, ani żadnej innej.

Przybywszy na Mazule, zastałem tam już czterech kolegów, a mianowicie Jaworskiego, Węgierskiego, Wincentego Skaczyńskiego i bohatera niniejszego opowiadania Franciszka Rutkowskiego. Franciszek miał wówczas najwyżej rok dziewiętnasty, dosyć wysoki, smukły ale silnie zbudowany, włosów ciemnych, oczów modrych, ciemnozielonych, jeszcze bez zarostu na twarzy, zawsze nieco smętnej ale mdłego wyrazu. Cała jego postać była bardzo ujmującą, a całe jego obejście się i zachowywanie świadczyło o dobrem i starannem wychowaniu. Był to syn obywatelski z Litwy podobnoś z Grodzieńskiej gubernii, ojciec jego poległ w powstaniu i pozostała mu tylko matka i siostra, które kochał nad życie i o których marzył bezustannie. Ciągle od nich wyczekiwał jakiejś wiadomości, ale — niestety na próżno!

Czy matkę i siostrę Bóg może powołał do siebie? — Nie wiem do dziś dnia, ale to pewna, że młodzieniec smutniał coraz bardziej. Na Mazuli mieszkał w domu Stepana Iwanowicza Jerłykowa, bardzo zacnego gospodarza, który Franciszka kochał jak własnego syna, a żona gospodarza Maryna, kobieta już niepierwszej młodości dogadzała mu we wszystkiem jakby swemu dziecku, ona sama szyła mu cienką bieliznę a nawet i suknie, a gdy Franciszek widząc, że nie nadchodzą żadne dla niego fundusze, nie chciał nic od nich przyjmować i nie jadł już parę dni zupełnie nic, z płaczem wpadła do nas na skargę, że „jej lubieznyj syn“ (jej ukochany syn) chce zamorzyć się głodem i ażebyśmy przedstawili mu, że oni go kochają jak syna, nie powinien im więc takiej sprawiać zgryzoty. Po wielu trudnościach powiodło nam się nareszcie przekonać go, że jego obowiązkiem jest żyć a nie umierać i uszczęśliwiona tem Maryna odezwała się do niego ze łzami radości, „lubieznoj ty gołubczyk moj, da pożywaj u nas, skolko tiebie ugodno! u nas sława Bohu jest!“ (kochany ty gołąbeczku mój, żyj u nas jak ci się tylko podoba, u nas dzięki Bogu jest!). I Franciszek pozostał u nich nadal, gospodarze go kochali i starali się o wszelkie dla niego wygody; dokładali wszelkich starań, ażeby tylko sprawić mu jakąś przyjemność, jakąś miłą niespodziankę, a że to był młodzieniec zasad poczciwych i acz młody, już ustalonych, trwałych, koleżeński i miły w towarzystwie i my kochaliśmy go szczerze. Tak żyliśmy wszyscy w najlepszej zgodzie, odwidzaliśmy się wzajemnie, razem schodziliśmy się na „wieczornice“, razem na polowania.

Pewnego dnia, jakoś to zaraz na początku lata, ja zachorowałem na febrę, która objawiła się bardzo silnie i jakkolwiek dzięki nieocenionemu Antoniemu Barano-

wskiemu drowi wszech medycyny, miałem jeden tylko paroksyzm, mimo tego byłem jakby z nóg zwalony i prawie na nowo uczyłem się chodzić. W czasie mojej rekonwalescencyi zjechał do Mazuli brat Aczyńskiego sprawnika, kilkonastoletni młodzieniec Aleksiej Nikołajewicz Ajgustow. Przybrany w uniform swego brata, dobrze podchmielony, rozkazał przynieść parę beczek wódki i wytoczyć na podwórze, a zaprosiwszy na ucztę wszystkich mieszkańców wsi Mazuli, wyprawiał tam sceny, jakich nie podobna malować mi tutaj, tem więcej, gdy znane mi są tylko z opowiadania, bo ja wcale nie wychodziłem z pokoju; dość jednak nadmienić, że mój gospodarz wszedłszy do mojego mieszkania, prosił mnie i radził, ażeby nie wychodzić z domu, bo brat sprawnika pijany, hulając wesoło rozkazał przywołać wszystkich polaków do siebie a zatem i mnie, ale on, gospodarz, wytłumaczył mu, że mocno słaby nie opuszczam łóżka, a nakoniec dodał „czto z polakami, kotorych prizwał k'siebie, zdziełali czto to płochawoho, a bo wsie wyszli so slozami w głazach, a Franc Karłowicz (Rutkowski) sbiełał kak stiena“. („że z polakami jakich przywołał do siebie zrobili coś złego, bo wszyscy wyszli ze łzami w oczach, a Rutkowski pobladł jak ściana“). Co stało się tam, co im uczyniono, nie dowiedziałem się nigdy i ponoś to na zawsze pozostanie tajemnicą, w kilka bowiem godzin po odjeździe tego zupełnie i nawskróś moralnie i fizycznie zepsutego młodzieńca, Skarzyński i Rutkowski przyszli wprawdzie do mnie, ale od nich nie dowiedziałem się nic. Skarzyński płakał i narzekał, a Rutkowski blady jak trup, milczał jak grób. Od tego czasu nie usłyszał już od Rutkowskiego nikt innego wyrazu jak tylko: „tak“ albo „nie“. W nadzwyczajnych tylko wypadkach wypowiadał swoje życzenia ale jędrnie, krótko, zaledwie kilkoma słowy. Milczał zawsze uporczywie, słuchał wszystkiego milcząco i powyższemi wyrazy odpowiadał na zapytania potakująco albo negatywnie, sprawiał jednak wszystkie czynności z niezwykłym spokojem ale dobrze i jak należało. Na jego twarzy znajdowały się boleść i rezygnacya, kształtne usta lekko wydatne, zamknęły się niemal szczelnie, raczej jakby dwie klapki, ściśle spojone ze sobą, a czoło pomiędzy brwiami nieco ściągnięte i lekko, nieznacznie przymrożone oczy, tudzież cała postać poruszająca się tylko jakby automatycznie, wlewały na pierwszy rzut oka mocne przekonanie, że ten młodzieniec nie zna niebezpieczeństwa, przed którem by zadrżał. I rzeczywiście, gdy chodziło o dostanie się na drugi brzeg wspaniałego a wezbraniem i burzą rozszalałego Czułymu, on z najzimniejszą krwią rozbierając się, jakimś weselszym wzrokiem i lekkim na ustach uśmiechem mierzył jego bałwany i głębię i z widoczną radością rzucał się do wody, herkuliczną siłą zwalczał prądy i wody, dostawał się na przeciwległy brzeg, wsiadał do łódki i wracał z nią do nas. Idąc z nim w dwójkę lub trójkę, w razie napadu ze strony pijanej tłuszczy rozbójniczej, Franciszek pierwszy powolnym ale pewnym krokiem, jak automat wysuwał się naprzód, roztrącał i bił wszystkich, którzy stanęli mu w drodze, przy tem zachowywał się cicho, spokojnie, żadnego nawet nie wydając głosu. Taki spokój, taka cisza a przytem wzrok iskrzący, śmiały, przemawiający szaloną odwagą, przejmuje zaprawdę większem przerażeniem i zgrozą niźli głośne hurrah albo inne krzyki. Uzbrojony w lichą, skałkową gwintówkę tudzież w topór i wielki nóż myśliwski za pasem, sam jeden zapuszczał się w głąb tajgi nieprzebytej na polowanie i strzelając nadzwyczaj celnie, wracał zawsze obładowany dzikiem ptactwem i zwierzyną a czasami wróciwszy z takiego polowania co prędzej zaprzęgał konia do telegi (wozu) i przywoził skórę niedźwiedzia lub łosia a nieraz i jedno i drugie.

Isprawnik aczyńskiego okręgu Nikołaj Nikołajewicz Ajgustów, dowiedziawszy się o tej w tajemnicy utrzymywanej sprawce swojego brata i o jakiejś wielkiej, ciężkiej krzywdzie wyrządzonej Franciszkowi, chciał, jako człowiek ostatecznie niezły, wynagrodzić tę krzywdę i gdy Franciszek gruntownie znał język rosyjski, dał mu posadę pisarza w wołosti, t. j. w urzędzie gminy zbiorowej. Tam nasz bohater zmienił swoją postać i całe swe zachowanie, był nadzwyczaj czynny, i że zdatności miał niezaprzeczone, wkrótce zawładnął wołostnym pisarzem i niemal samowładnie rządził w wołości. Rozkazy jego częstokroć bywały szalone, ustanowiony jednak przez samego sprawnika, nie natrafiał na opór, bo wszyscy obawiali się gniewu naczelnika tem więcej, gdy myślano powszechnie, że Franio Rutkowski musiał być zalecony isprawnikowi przez jakiegoś wyższego dygnitarza. Po upływie jednak kilku miesięcy, począł Franciszek wydawać rozkazy popom, a w końcu napisał do isprawnika wezwanie pod zagrożeniem srogą karą i odpowiedzialnością, ażeby bez zwłoki zakuł swojego brata w kajdany i dostawił do niego dla ukarania. Wówczas dopiero poznano i osądzono, że nieszczęśliwy cierpi na pomięszanie zmysłów i wydano polecenie, ażeby go dla wyleczenia wysłać do Krasnojarskiej „bolnicy“ (szpitalu). W drodze do tego miasta, na jakiejś stacyi, gdy konwojujący go kozak wyszedł na chwilę z pokoju, Rutkowski ujrzawszy jakiegoś chłopa stojącego przy piecu, w którym na chleb właśnie silny rozniecano ogień, upatrując w nim owego brata isprawnika, chwycił go nagle i niespodziewanie w pół i zanim na krzyk nieszczęśliwego zdołano pospieszyć z pomocą, wrzucił go w piec jak polano z radośnym okrzykiem: „Aha! Ałeksiej Nikołajewicz!“ Po dłuższej walce z nieszczęśliwym obłąkanym, niedozwalającym nikomu zbliżyć się do pieca, wyciągnięto na wpółzwęglone ciało nieszczęśliwej ofiary waryata, a jego samego powieziono dalej i aż na miejsce jego przeznaczenia, gdzie go zatrzymano kilka miesięcy w kuracyi.

Wśród tego czasu zostałem wysłany na samą północ aczyńskiego okręgu i zamieszkałem we wsi Arefiewa t. j. w przedostatniej wsi, jaka w tym okręgu istniała po stronie północnej. Arefiewa z dwóch stron otoczona lasem szpilkowym, a z dwóch stron jeziorem i łąką, po za którą wspaniały Czułym bystro toczy swe wody, a za Czułymem znów tajga, — tajga (las odwieczny) bez końca! Nie mając w tem odludnem miejscu, oddalonem od Aczyńska o paręset wiorst, żadnego zajęcia ani utrzymania, kupiłem mały zapas niezbędnych tam towarów, i prowadziłem handel. Było to jakieś święto, nikt nie kupował dnia tego, byłem więc tem bardziej znudzony, gdy niesłychany skwar słoneczny tudzież tak zwana „moszka“ i „mostryca“ nie dozwalały mi na krok wyruszyć się z domu. Dla odpędzenia tych nieznośnych, złośliwych owadów, między któremi miryady komarów za każdem uchyleniem drzwi lub okna wpadają do pokoju, stoi w każdym kącie żelazne lub blaszane naczynie napełnione suchym, tlejącym nawozem końskim, który tak odrażającym dymem napełnia powietrze, że zanim nowy przybysz przyzwyczai się do tego, przynajmniej przez trzy do sześciu dni dręczony bywa wymiotami, a

dym ten dusi i dławi tem mocniej, gdy nietylko drzwi i okna zamknięte są szczelnie, ale nadto wszystkie najdrobniejsze szpary a nawet i dziurki od klucza pozatykane. Zamknięte okiennice łagodzą cokolwiek nieznośne gorąco. Taki stan powietrza, szkodliwy wpływ wywiera na zdrowie, a przynajmniej czyni ociężałym i jakby znużonym. W takim stanie rzuciłem się na łóżko i wolne wodze puściłem myślom. Po chwili pies mój począł ujadać na podwórzu, poczem usłyszałem kroki czyjeś po wschodach, nareszcie rozwarły się nagle drzwi mego pokoju, a w nich ukazał się ku najwyższemu zdziwieniu mojemu a zarazem i radości — Franciszek Rutkowski. Po serdecznem przywitaniu wycedził mi Franciszek słówko za słówkiem, że już zdrowy wrócił ze szpitalu i że jest przeznaczony na mieszkanie do Kaczetatu, t. j. do poblizkiej, od Arefiewy zaledwie siedm wiorst odległej wioski. Po wypowiedzeniu tego milczał znowu jak grób i chyba tylko kiedy niekiedy usłyszałem od niego zwyczajne jego: „tak“ albo „nie“. Franciszek przenocował u mnie i dopiero nazajutrz po obiedzie powrócił do siebie. W parę dni później i ja puściłem się do niego w odwidziny konno, gdy atoli prawie zaraz za wsią spotkałem się z niedźwiedziem, przed którym cofnąłem się jeszcze dość wcześnie, ażeby uciec przed jego pogonią, postanowiłem odłożyć moje odwiedziny aż do niedzieli, w której mój gospodarz miał jechać nieco dalej po za Kaczetat a mianowicie do wsi Jełowki. W ową niedzielę zatem, gospodarz mój zaprzągł dzielnego konika do zgrabnego swego tarantasa i obydwa uzbroiwszy się należycie, raźnie ruszyliśmy z miejsca i po upływie kilkunastu minut stanęliśmy u celu, przynajmniej ja wysiadłem w Kaczetacie, mój gospodarz zaś pojechał, a raczej sybirskim zwyczajem jak szalony popędził dalej ku Jełówce. (Dokończenie nastąpi).

O stanie stosunków rybackich i prawnych[1]) w Galicyi

PRZEZ

Dra M. Nowickiego.

W dalszym ciągu mego „Sprawozdania z podróży odbytej 1884 r. w sprawach rybackich“, ogłoszonego w „Tygodniku rolniczym“ Nr. 6 i 7 z 1885 r., kreślę w niniejszym artykule w zarysie obraz teraźniejszego u nas stanu gospodarstwa stawowego, rybołowstwa rzecznego, stosunków prawnych rybackich, dążeń do dźwignięcia rybactwa, i podaję ten artykuł do publicznej wiadomości w tym głównie celu, aby interesowanych zapoznać z stanem rybołowstwa rzecznego i z zapatrywaniami na tegoż uregulowanie, które teraz jest na porządku dziennym.

A) Gospodarstwo stawowe.

Stawy swoje, teraźniejsza Galicya otrzymała w spadku po dawnej Polsce, gdzie jeszcze za pełnej chwały panowania Piastów i Jagiellonów stawy na wielką zakładano skalę, a te wsie ceniono sobie najwięcej, które miały: „ryby, grzyby — łąkę, mąkę“. Stanowią one jak dawniej tak i obecnie wyłączną własność dworów. Powierzchnia ich obejmowała za czasów stałego katastru 38263 morgów[2]), stopniała jednak według nowszych pomiarów, w 1869 r. zarządzonych, do 36450 morgów z powodu zamienienia stawów na łąki i role.

Na wyżynie nauki, praktyki i rentowności stoi gospodarstwo stawowe obecnie tylko w niektórych majątkach na granicznym skrawku zachodniej Galicyi nad Białką, Sołą, Skawą i odnośną częścią Wisły. Odwieczne bowiem stawy tamtejsze są nie na rzekach samych, lecz osobno założone, i dopływami z wód bieżących zasycane, przytem wybornie zniwelowane, płytkie; dają się spuszczać celem osuszania i wymrażania, naprzemian zarybiać i obsiewać, jeśli taka przemienna gospodarka rybna i rolna lepiej się opłaca. Słowem, staw, woda i chów ryb są tam w mocy człowieka. Do tego hodowcy tamtejsi są wprawnymi praktykami, stosują nową metodę Tomasza Dubischa[1]), gospodarują z całą znajomością rzeczy i zapobiegliwością sami, wychowują co roku karpie na sprzedaż, mają więc co roku dochód z stawów, i to według p. Aleks. Gostkowskiego[2]) 2 do 4 razy większy, aniżeli z takiej samej przestrzeni roli, w Tomicach z 1 hektara 56 złr. Z tych też względów nie spuszczają tam stawów, lecz owszem zakładają nowe.

Indziej zaś, zwłaszcza gdzie stawy są na samych rzekach założone, jak na olbrzymiem opolu stawowem[3]) we wschodniej części kraju, polega gospodarka odwieczną praktyką na spustach i odławianiu co 3 lub 4 lata ryb większych, a zostawianiu na wyrost małych (warunków). Skład zarybienia i tarło są tam na własny los zdane, to też ryby podlejsze mnożą się jak chwast na polach, szczupak wszędzie dominuje, a cenny karp, to istne tuczne zwierzę domowe, nie może się nigdzie przez szczupaka rozplenić. Groble są wysokie, stawy głębokie i z wodą często przez bujny zarost do jednego lub kilku ples ograniczoną, nadto od młynów lub gorzeln zależne, miejscami do

[1]) O stanie rybactwa w Austryi pisali: Kraft C., *Die neuesten Erhebungen über die Zustände der Fischerei in den im Reichsrath vertretenen Königreichen und Ländern, Wien 1874*; — Peyrer C., *Fischereibetrieb und Fischereirecht in Oesterreich, Wien 1874*, o Galicyi str. 129 do 131; — Wittmack L. Dr., *Beiträge zur Fischerei des Deutschen Reichs sowie eines Theiles von Oesterreich-Ungarn und der Schweiz (Circular Nr. 1 des deutschen Fischervereins Berlin 1875*, o Galicyi str. 181).

[2]) Nowicki M. Dr., Przestrzenie wód Galicyi (Okólnik Nr. III. Tow. rybackiego) 1883.

[1]) Nowicki M. Dr., Gospodarstwo karpiowie w Rudzie różanieckiej (Okólnik N. I. Tow. ryb.) 1881; O wzorowym sposobie hodowania karpia w stawach zaprowadzonym przez Tomasza Dubischa (Tyg. roln. Nr. 26—28, 30) 1884; — A. Gasch, *Die Teichwirthschaft auf dem Gute Kaniów, 1880; Beiträge zur Fischzucht und Teichwirthschaft, 1883; — Erzherzogliche Cameral-Direction, Die Fischzuchtverhältnisse auf der erzherzoglich oesterreichischen Kammer Teschen (Bayerische Fischerei-Zeitung Nr. 12, Mitteilungen des oesterr. Fisch.-Vereines N. 13) 1884; —* Borne M. v. d. *Züchtet Sommerlaichfische (Circular Nr. 2 des deut. Fisch.-Vereins) 1884;* — Przanowski A., Gospodarstwo rybne (Gaz. rolnicza Nr. 46—49) 1884.

[2]) Gostkowski Aleks., O gospodarstwie stawowem w Tomicach (Tyg. roln. Nr. 5) 1885.

[3]) Pol W. Hygrografia Polski, 1876; Północny wschód Europy.

moczenia konopi używane (Tarnopol). Gospodarka w zarządzie własnym należy do rzadszych wypadków. Zazwyczaj właściciele wydzierżawiają stawy, gdzie więcej stawów razem, tam dzierżawca wymawia sobie jedne z nich na spust jesienny, inne zaś na letni. Właściciel choć wie o tem, że letni spust niszczy stan rybny, nie mniej przeto nie może mu się oprzeć, bo by inaczej stawów nie wydzierżawił i z ryb nie miał pożytku. Wobec takiego stanu rzeczy, przynoszą stawy dochód mały, bo z 1 morgi od 6 złr. w dół aż do półtora centa[1]). O zmianie gospodarki, ulepszeniach, odnawianiu starych stawisk, nie słychać.

Włościanie nie oddają się gospodarstwu stawowemu, z wyjątkiem nie wielu na zachodnim granicznym pasie kraju, gdzie im przykładem były dwory.

Liczne stare rzeczyska, często kość sporna między obywatelami a władzami, również nie są należycie wyzyskiwane, jak i wszystkie inne wody stojące, które przecież przed płynącemi wodami przedstawiają te ważne korzyści, raz że hodowca ma wszystkie ryby w nich znajdujące się w swoim ręku, podczas gdy z ryb rzecznych tylko pewna część dostaje się rybakowi i konsumentowi, powtóre że prawo rybołowstwa na wodach stojących przysłuża wyłącznie ich właścicielom, kradzieże więc ryb podlegają kodeksowi karnemu. Bagna obejmują według stałego katastru 88752 morgów, a że ich jeszcze dotąd jest aż tyle, może to ztąd pochodzi, że osuszenie i drenowanie wiele kosztuje. Dostarczają one co najwięcej siana małej wartości pokarmowej i pieniężnej, leżą więc przeważnie prawie pustkami, a mogłyby wybornie być użyte na rentowne stawy tam, gdzie grunt, położenie, do- i odprowadzenie wody, komunikacye, możność korzystnego zbywania ryb, temu odpowiadają, jakich to miejscowości u nas jest dosyć. Prócz tego stawy na moczarach przyczyniłyby się i do zdrowia okolicy, jak to orzekło krakowskie Tow. lekarskie[2]).

Przy panującym u nas w ogólności zastoju pod względem gospodarstwa stawowego, miło to jest dostrzegać objawiającego się wśród właścicieli wód stojących i moczarów ducha inicyatywy i przedsiębiorczości, ale niestety ogniki te muszą gasnąć wobec rozlicznych niepomyślnych okoliczności, na jakie nasze rybactwo, ongi słynące, dziś chroma. Tak n. p. ród starych stawowych wymiera, jak zniknął ród pasieczników i sadowników.[3]) Nowi ludzie nie wykształcają się, bo nie urządzono u nas kursów rybactwa w szkołach rolniczych i leśnej, gdzie by się można praktycznie i teoretycznie nauczyć, jak wody uprawiać, znane zasady gospodarstwa rybnego do warunków miejscowych, które są najrozmaitsze, odpowiednio zastosowywać, a zachcianek unikać, albo jak sobie radzić w razie wybuchłych chorób na ryby.[4]) Nie mamy też szkółki rybackiej przy którem z wzorowych gospodarstw stawowych na zachodzie kraju, ani stypendyów do wysełania tam uczni na naukę, ani nawet popularnych książek do samouctwa, a czego wszystkiego nie zdołają zastąpić wykłady wędrowne o rybactwie, idące niebawem w niepamięć. Większa własność pozbawiona jest oficyalistów obeznanych z prowadzeniem postępowego gospodarstwa stawowego, a zasięganie w tym względzie rad od znawców, na nic się w końcu nie przydaje, bo wiedzieć, a praktycznie wykonać, to jeszcze nie jedno. Spółką rybacką na wzór warszawskiej (Tyg. roln. Nr. 11 z 1884 r.), także się jeszcze pochwalić nie możemy.

W ogólności więc uprawa wód stojących u nas pozostawia jeszcze wiele do życzenia i należy ją wobec niskich cen zboża wskutek obcej konkurencyi według możności rozwinąć, do czego także i w Królestwie zmierzają (Tygodnik roln. N. 37 z 1884 r.). Zbyt ryb jest pewny, bo popyt za niemi już z samej zagranicy jest i będzie większy, niż nastarczyć może produkcya u nas, a przecież i na wewnętrzny konsum trzeba ryb wiele, które teraz sprowadzamy z zagranicy za blisko 2 miliony guldenów rocznie.[1]) Hyperprodukcyi ryb, jak n. p. pszenicy, cukru, spirytusu, nie ma się czego obawiać, bo konsum będzie się zwiększał, przez co i ewentualny spadek cen ryb wyrówna się.

Chów raka[2]), gdyby się nim na seryo zajęto, miałby także wielką przyszłość przed sobą. z powodu więcej jak pewnego wywozu za granicę Petycya Tow. ryb. z 1884 r. do Sejmu o wydanie ustawy ku ochronie raka, nie odniosła skutku.

B) Gospodarstwo rzeczne.

a) Upadek rybołowstwa. Połów ryb w rzekach, ongi rządnie wykonywany, był obfitem źródłem dochodów, został jednak przywiedziony w całym kraju do zupełnego upadku z rozmaitych przyczyn.

Tak rozdrobiono rybołowstwo prawie na atomy, za czem poszło, iż obecnie łowców ryb jest niemal więcej, niż samych ryb, podobnie jak się rzecz miała z myśliwymi i zwierzyną przed ustawą myśliwską. Nadto łowcy ci uganiają się za rybami bez ustanku, bo dniem, nocą przy świetle lub po ciemku, latem na wodzie, zimą na lodzie i po okrajkach, w porze tarłowej i każdej innej, używając przytem rozmaitych najzmyślniejszych, choć po części szkodliwych narzędzi i sposobów łowienia Kontyngens ten pomnażają po miastach tysiące ochotników, a po wsiach dziatwa bez liku, która niemal ustawicznie w porze ciepłej brodzi po płytszych wodach za rybami, za co zganiona, zwykła ze zdziwieniem odpowiadać: „ta to ryba“. Istny więc cud, że jeszcze choć jedna ryba wobec takiej krucyaty dochować się mogła. Jakoż rzeki nasze byłyby musiały już całkiem opustoszeć, gdyby nie to, że ryby z dołu za żerem lub dla tarła podpływają. Rybacy z rzemiosła utyskują na ubytek ryb, na biedę z niedostatecznego zarobku i nieopłacanie się im już twardej pracy, a pamiętają, jak i my, niedawno jeszcze lepsze czasy, kiedy to rzeki były rybne, połów więc łatwy i obfity. Zamożność rybaków, którzy ongi w gościnie, dla doznania na sobie przysłowia: *post pisces vinum misces*, pijali za pan brat z starostami (Tyg. roln. Nr. 53 z 1884 r.), dziś już tylko z tradycyi i podań książkowych znana.

Ustawa ku ochronie ryb[3]), wydana na tymczasem, obowiązuje od miesiąca lipca 1883 r., ale mało tylko ziściła po-

---

[1]) Nowicki M. Dr., Stawy (Okólnik N. III Tow. ryb. str. 66) 1883; (Tyg. roln. N. 37) 1884.

[2]) Nowicki M. Dr., W sprawie stawów (Tyg. roln. Nr. 48; Przegląd lekarski Nr. 46; Kaschauer Zeitung Nr. 147) 1884.

[3]) Pogadanka wilijna o rybołowstwie, (Czas Nr. 297) z 1884 r.

[4]) Nowicki M. Dr. Rzecz o chorobie karpia w stawach Kaniowa (Przegląd lekarski Nr. 19 i 24) z 1884 r.; — Raciborski M., Roślinne pasorzyty ryb (Tyg. roln. N. 49) 1884 r.

[1]) Nowicki M. Dr. Import ryb (Okólnik N. III Tow. ryb., str. 70) 1883; (Czas N. 101) z 1882 r.; (Tyg. roln. Nr. 19) z 1884 r.

[2]) Nowicki M. Dr., Rak (Gaz. Lwowska N. 293) 1883; (Tyg. roln. N. 37) z 1884 r.

[3]) Ustawę tę Sejm d. 27 Września 1882 uchwalił, a Najjaśniejszy Pan postanowieniem z d. 19. Listop. 1882 r. sankcyonować raczył. Celem ułożenia postanowień rozporządzenia

kładane w niej nadzieje, jak tyle innych ustaw naszych, będących niejako plastrami na chorem ciele. Nie powstrzymała bowiem, mimo całej zapobiegliwości żandarmeryi, dalszego ukradkowego doniszczania ryb płótnem, laskami, dynamitem[1]), trutką[2]) i t. d., wyławiania okazów niedorosłych, nawet samego narybku[3]). Pozostała gminom i łowcom przeważnie obcą z treści i celu, kawałkiem papieru, z wyjątkiem po większych miastach, gdzie się odbywają targi rybne i te straż akcyzowa kontroluje (Czas Nr. 128 z 1884 r.). Rybacy nałogowo nawykli do nierządnego połowu ryb, usiłują ją omijać, tak samo handlarze. Przestrzeganie należytego jej wykonywania jest niedostateczne, zresztą w praktyce najczęściej nawet iluzoryczne z tego powodu, że przeważnie organa do czuwania powołane, choćby miały najlepsze chęci, nie znają ryb i zakazanych przyrządów rybackich oraz ich zmieniających się nazw ludowych, a tablic z rysunkami takowych, dotąd u nas nie wydano[4]). Sejm pominął w ustawie karty rybackie, niemniej tępienie zwierząt rybożernych, aby uniknąć kolizyi z uprawnieniami myśliwskiemi. To też zewsząd słychać skargi, że rozmnożone wydry i inni nieprzyjaciele ryb swobodnie plądrują po rzekach i stawach; wprawdzie Towarzystwo myśliwskie we Lwowie wyjęło wydrę z pod prawa myśliwskiego, ale ta uchwała pozostała dotąd na papierze, gdyż nie ma funduszu na udzielanie premij za zabite wydry.

Zapowiedzianych §. 9. ustawy przepisów rybackich dla rzek granicznych, p. Minister rolnictwa dotąd nie wydał; ta zaś wolność łowienia na granicy, a zakaz wewnątrz kraju, musiały tu wywołać niemało przestępstw i złych następstw („Czas" Nr. 140 i tygodnik rolniczy Nr 45 z 1884 roku), bo skarg ościennych krajów na naszych rybaków.

Połowu ryb, zwłaszcza wędrownych, na międzypaństwowych rzekach Wiśle, Styrze, Dniestrze i Prucie, dotyczące Rządy również jeszcze nie unormowały, wskutek czego n. p. łososia w jednym kraju ciągle poławiają, a w drugim tylko czasowo.

Przepisy ustawy wodnej sprzyjają więcej uprawnionym interesom rolnictwa i przemysłu, niż rybactwa, to też uprawnieni do użytkowania wody, postępują sobie bezwzględnie i przyczynili się tym sposobem do tego, że niejedna już rzeka najrybniejsza całkiem opustoszała (Czeremosz, Prut, Bystrzyca, Swica...)

W ogólny plan regulacyi rzek („Czas" Nr. 143 z 1884 roku) nie wciągnięto jeszcze środków zaradczych przeciw marnieniu ryb podczas powodzi.

Przepustów[1]) od rzek do odciętych kolan, tudzież do starych rzeczysk, dotąd nigdzie nie urządzono, przez co ubywa rybom tarlisk do rozmnażania się.

Toworzystwo rybackie usiłuje od r. 1879 w interesie publicznym podnieść stan rybny przez rozpuszczanie mnogiego narybku[2]), ale przytoczone powyżej i inne niekorzystne okoliczności niweczą jego robotę[3]); jak więcej dotąd, pożal się tylko Boże tylu poświęconych trudów i wydanych pieniędzy.

b) Wykonywanie rybołowstwa na wszystkich rzekach i potokach wzdłuż obu brzegów lub do połowy wód, jest udziałem to dominjów dawnych, to obszarów dworskich, gmin jako takich, właścicieli gruntów nadbrzeżnych, lub mieszkańców gmin, tak, że obecnie u nas nie znajdzie się zapewne ani jeden metr przestrzeni wody płynącej, na której rybołowstwo nie byłoby zawłaszczone. Państwo lub kraj nie bierze w rybołowstwie udziału, nawet na 16 rzekach spławnych[4]), lecz zwykle dwory. Większe przestrzenie rzek znajdują się przeważnie w ręku obszarów dworskich, prócz tego niektórych miast i gmin. Na młynówkach i innych sztucznych przekopach wykonywają rybołowstwo zazwyczaj ich właściciele lub dzierżawcy; nie brak wszakże i takich, na których łowi kto chce (Krakow...). Mniemanie, jakoby rybołowstwo należało do właścicieli gruntów nadbrzeżnych, wyrobiło się snać dopiero od czasu wydania ustaw wodnych

---

wykonawczego do tej ustawy, powołał p. Namiestnik ankietę do Lwowa na dzień 4. Stycznia 1883 i spełniła ona przypadłe jej zadanie. Ustawa wraz z rozporządzeniem zostały wydane w numerach 57 i 58 Dziennika ustaw i rozporządzeń krajowych i rozesłaue dn. 14. Lipca 1883 r.

[1]) Rada państwa ma wydać tej kadencyi (r. 1885) ustawę o dynamicie. Referentem jest poseł Dr. M. Zatorski, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

[2]) Nowicki M. Dr., Rybia trutka (Okólnik N. III. Tow. ryb.) 1883. (Gazeta Narodowa N. 78) z 1882 r.

[3]) Nowicki M. Dr., Skutek zarybiań (Tyg. roln. Nr 52) 1884.

[4]) Nowicki M. Dr., W sprawie ustawy rybackiej (Tyg. roln. N. 31) 1884. Ogłoszona odezwa krajowej Komendy żandarmeryi we Lwowie z d. 22. Czerwca 1884 r. L. 4552 A, zawierająca szereg cennych wskazówek pod względem nastręczających się w praktyce trudności w przestrzeganiu ustawy. Towarzystwo rybackie przedłożyło tę odezwę w oryginale Namiestnictwu do uwzględnienia, a w odpisie także Wydziałowi krajowemu z prośbą, aby uzasadnione żądania komendy ziścił. Czy się temu stało zadość lub też podania poszły do kosza, nie wiadomo. Potrzebę tablic z rysunkami ryb i sieci uznały także Rady powiatowe i dopytywały się o nie, jak n. p. Wydział powiatowy z Borszczowa odezwą z d. 19 Stycznia 1885 r. L. 1614.

[1]) Nowicki M. Dr., Regulacya rzek. (Tyg. rolniczy Nr. 19) z 1884 r.

[2]) Nowicki M. Dr., Zarybienie wód Galicyi i źródłowisk Wisły (Tyg. roln. Nr. 52) 1884.

[3]) Zgoda Nr. 9. i Łącznosć Nr. 12 z 1883 roku.

[4]) Rzeki spławne w Galicyi według wykazu departamentu budowli wodnych Namiestnictwa: 1) Wisła od ujścia Przemszy pod Gorzowem, 2) Przemsza od mostu w Mysłowicach do ujścia do Wisły, 3) Sola od Rajczy, 4) Skawa od Makowa, 5) Dunajec od Nowego Targu, 6) Wisłoka od Krępny, 7) Wisłok od Frysztaka, 8) San od Soliny, 9) Dniestr od ujścia Stryja pod Czartoryą, 10) Stryj od Korczyna, 11) Świca od Wełdzirza, 12) Łomnica od Perehińska, 13) Bystrzyca sołotwińska od Sołotwiny, 14) Bystrzyca nadworniańska od Zielony, 15) Prut od Mikuliczyna, 16) Czeremosz od Barwinkowa („Czas" Nr. 101 z 1882 roku).

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORESPONDENCYE.

Z Ukrainy. Wasylówka.

Przesyłam sprawozdanie z naszego polowania w lasach rządowych na Podolu, w rewirze Kalinowieckim, które chociaż dość niefortunnie odbyliśmy, nie było jednak pozbawione interesu i myśliwskich wrażeń. Dzień 15. Listopada z. r. dał nam ponowę, korzystając z niej wezwałem przez telegramy kolegów, by nazajutrz zebrali się na naznaczonym punkcie. Zebrawszy psy i strzelców podążałem na kolej w nadziei spotkania się po

drodze z nie jednym z wezwanych kolegów. O 5tej godzinie wieczorem 16. tegoż miesiąca, zjechało się nas myśliwych dziesięciu. Każdy bodaj ze sforą gończych i choć z jednym asystentem i z prowizyą, jaka naprędce dała się zabrać. Lokal obraliśmy w pobliżu kniei, w obszernej karczmie, która niedawno zbudowana, była trochę wilgotną, a jednak wesoło nam w niej było. Gawędy myśliwskie, sprawozdania gajowych o dzikach i sarnach, rozgrzewały zimne nasze komnaty, i nic nam nie zostawało do życzenia, jak tylko spotkanie z dzikiem. Brat mój, myśliwy od jasnej gwiazdy, nie wiedząc, że powtórnie mamy zamiar zapolować tu zbiorowo, od dni ośmiu, bez przerwy polował w tej samej miejscowości, do której my teraz przybyliśmy. Nie wiele upolował, przepędził jednak stado dzików na drugą stronę rzeki Bohu, gdzie polowanie dla nas było na teraz niemożebnem, gdyż lasy za Bohem należały już do innego rewiru, do którego uzyskane przez nas prawo polowania nie rozciągało się. Pospadały nam nosy na kwintę, jednakże brat mój pocieszając nas upewniał, że zostało jeszcze dosyć odyńców, gdyż dziś jeszcze, polując sam jeden ze sforą gończych i z myśliwym swoim, strzelali do dwóch dzików i na pewne może wskazać, gdzie nazajutrz znaleźć ich możemy. Ożywieni takim jego zapewnieniem, poczęliśmy opatrywać broń, wylewać kule i rozprawiać o jutrzejszych trofeach; wreszcie posiliwszy się ułożyliśmy się do spoczynku. Ranek był piękny, cichy, w nocy spadł śnieg, ponowa zatem świeża; powstawaliśmy wcześnie, przed odezwaniem się pobudki. Jednym niemal łykiem wypito herbatę, śniadanie sute wnet spożyto, podwody zajechały, i już byliśmy gotowi do kniei. Gajowi tymczasem otropili dwa dziki, a strzepnąwszy śnieg z po za kołnierzy, wsiedli na pierwsze sanie, by wskazać tropy, rozstawić myśliwych na wadze lasu, gdzie strzałów spodziewać się można. Rozpatrzywszy się na miejscu powzięliśmy przekonanie, że dzik ogromny, gdyż przechodząc pod złom dębu, który był mu na zawadzie, podniósł go ryjem, zaczepiwszy kłem tak silnie, że odszczepił niemałą trzaskę z dębu, a że przechodzić musiał już rankiem, to widocznem było po trzasce i po tropie, które nie były zasypane śniegiem, który nadedniem przestał padać. Myśliwym było wesoło, każdy miał nadzieję zajrzeć w oczy ogromnemu dzikowi, a trzem z nas wypadło iść za tropem. Leon Podhorski, jako znakomity strzelec i zawołany myśliwy, ze swoim strzelcem i dojeżdżaczem, który prowadził za nimi gończego, już zaprawionego na dzikach, by w razie gdy zwierz podruszony będzie, puścić go, by się udał tropem dzika. Staliśmy na swoich stanowiskach wyczekując strzałów lub naszczekiwania puszczonego za zwierzem psa. To trwało ledwie nie godzinę, w tem dały się słyszeć dwa strzały, po strzałach naszczekiwanie gończego, prześladującego zwierza, kazało mniemać, że dzik nie został zabity, lecz pies pogonił za nim. Cóż się stało? Pokazało się, że Podhorskiego prześladował okrutny fatalizm; pan Leon, myśliwy doświadczony, człek akuratny, przytem krwi zimnej jak Anglik, póki broni nie opatrzy na stanowisku nie stanie, a broń miał wyborną, w tak pożądanej chwili doświadczył nadzwyczajnego wypadku. Dzik ze swego legowiska o kroków piętnaście dostrzegł myśliwych i z trzaskiem po łomach dość wolno szedł na sztych na Podhorskiego, który przypuścił go niemal na pięć kroków, i ufając swej broni nie wątpił, że będzie miał przed sobą trupa, więc wymierzywszy pociągnął za cyngiel, — strzelba go zawiodła, złożył się po raz drugi na kroków siedm, druga gilza również zawiodła. Zdetonowany naciąga kurki i strzela do dzika już na kroków czterdzieści, a w tejże chwili i myśliwy jego strzał daje. Dzik nie zmieniając kierunku w ogromnych susach znikł z oczów. Rozczarowanie straszne. Tak bezprzykładna przygoda wywarła na nas wszystkich niemiłe wrażenie, każdy bowiem z nas kwitował już z okazyi spotkania się z tą bestyą. Drugi dzik wyśliznął się nam bez strzału, bo pies puszczony za pierwszym podruszył go, i ledwie nie ciepłe jego legowisko mogliśmy oglądać. Dzień ten o ile niefortunnym był dla nas, czytelnik osądzi. Pocieszając zalterowanego takiem niepowodzeniem kolegę, wróciliśmy dość późno do swej rezydencyi. Należało obmyślić porządek dzienny na dzień jutrzejszy. Gwarny był to wieczór a przy ożywionej rozmowie każdy uznał za potrzebne jeszcze raz opatrzeć swą strzelbę drobiazgowo, by wszelką możliwą niedokładność usunąć i nie doznać nazajutrz podobnego jak p. Leon zawodu Zwykle cudzym kosztem człowiek pouczany bywa, „a kto na gorącem się sparzy, ten na zimne dmucha“. Z narady ogólnej wypadło, by dzień jutrzejszy nie tylko dzikom poświęcić, lecz puściwszy wszystkie psy, strzelać do każdej zwierzyny. Był z nami kolega Adam Potocki, który lwom w oczy zaglądał. Strzelec to nie naszej ręki, bo kulami ledwie nie w lot ptaki strzelał; kulą zabił w naszych oczach łasicę o 30 kroków i trafił pod łopatkę, w miejsce gdzie każdego zwierza strzela; do zająca strzelił na 90 kroków, w kark mu mierzył a gardłem kula wyszła, może to i wypadek, lecz jako fakt przytoczyć muszę. Otóż Adam Potocki będąc na stanowisku ze sztucerem, spostrzegł kozła, stojącego o paręset kroków i wysłuchującego z uwagą gonienia psów. Pan Adam strzela i chybia, kozioł stoi, strzela więc po raz drugi i dopiero trzecim strzałem zmusza go do ucieczki. Co mogło być przyczyną tak niefortunnych strzałów, niech sam myśliwy, któremu to się przytrafiło, w „Łowcu“ wytłumaczy.

Dzień ten zostanie nam na długo pamiętnym, bo licząc na ranną pogodę i odwilż, wybraliśmy się do kniei zanadto lekko ubrani. Około 12tej godziny uczuliśmy nagłe oziębienie powietrza, a ostry wiater z wzmagającym się mrozem, bardzo nieprzyjemnie zaczął nas przebierać, co też niemało przeszkadzało naszym strzałom. Ubito jednak tego dnia cztery kozły, a dzików psy nie podejmowały. Wróciliśmy zziębnięci do kwatery. Herbata i ciepły rosół były bardzo pożądane, jakoś rzeczywiście ogrzały nas i powróciły wesoły humor, dalejże bawardować, naśmiewając się ze swoich fizyognomii, które na stanowiskach, rzeczywiście bardzo komiczne być musiały. Dobrze to chłopskie przysłowie mówi: „Ochota hirsze newoli“, a że każdego myśliwego podobne katastrofy spotkać mogą, odstraszać to nie powinno. Samo przypomnienie myśliwemu różnych przygód, odbytych nie bez przykrości ale w miłem towarzystwie, robi wrażenie przyjemne; gwoli przeto wspomnieniom, by wrażenia tych chwil wspólnie po koleżeńsku spędzonych nie zatarły się w pamięci, przenoszę je na papier.

Antoni z Rokszyc Zapolski.

Podkamień w Czerwcu 1885.

Jeżeli ktoś w życiu publicznem swoje własne sprawy i przyjemności podporządkować potrafi sprawom ogółu, wtedy współczesne dziennikarstwo w szumnych artykułach podnosi jego zasługi, a w przyszłości dzieje krajowe jego pamięci poświęcają wdzięczne wspomnienie. Czyn podobny jednak w życiu publicznem nie nazywa się bohaterstwem, ale tylko powinnością. Jeżeli zaś myśliwy na podobną ofiarę zdobyć się potrafi, to w takim razie odwołuję się do wszystkich zwolenników św. Huberta — czyn taki jest bohaterstwem. Na podobne zdobywam się bohaterstwo kreśląc te słowa. A zwracam się z niemi znowu do owej przez Ogólne Zgromadzenie Towarzystwa

łowieckiego wybranej komisyi do zreformowania dziś istniejącej ustawy. Poucza mnie owa ustawa, że do dnia 15. Czerwca zabronione jest polowanie na dzikie gęsi. W ostatnim moim artykule wystąpiłem stanowczo przeciw temu terminowi co do dzikich kaczek. Uważam go za nadto wczesny, i podałem powody tego mojego twierdzenia. Rzecz się ma zupełnie inaczej co do dzikich gęsi. Lubo sam znajduję się w wyjątkowem szczęśliwem położeniu, iż na moim stawie w Bieńkowcach w państwie Podkamienieckiem w powiecie Rohatyńskim, mam co roku kilka, a czasem kilkanaście lęgów tego ptactwa, które mi potem najmilszej myśliwskiej przysparzają przyjemności, zmuszony jednak jestem ze względów czysto ekonomicznych wystąpić przeciw ochronie gęsi dzikich w naszym kraju. Że tu żaden egoizm z mej strony nieodgrywa roli, to świadczą kilkakrotne moje korespondencye, wysyłane do „Łowca", opisujące moje coroczne polowania na dzikie gęsi, które to polowania uważałem zawsze za jedną z największych przyjemności myśliwskich. Byłem z tego względu raz już nawet atakowanym przez jakiegoś korespondenta, który z pewną wzgardą się o tem polowaniu wyrażał i oddawał je na łup kłusownikom, lubo sam tak był szczęśliwym, że na jeden strzał zabijał mnóstwo dzikich gęsi, jak w hurmę wróbli strzelający student na wakacyach. Ja lubo święcie temu wierzę, oświadczam, iż nigdy na podobnych nie byłem godach, pomimo kilkodziesięcioletniego polowania na to ptactwo, i szczerze wyznaję, że owe polowanie do najprzyjemniejszych zaliczam. Wobec tego zdaje mi się więc, iż śmiało i przeciw niemu głos podnieść mogę w sprawie czysto ekonomicznej.

W tym roku, w pierwszych dniach Czerwca, silne deszcze spowodowały wezbranie wód w rzeczce Swierzy, która przepływa przez staw Bieńkowiecki. Liczne gniazda kaczek i gęsi dzikich, które się na wierzchowinach stawu lęgły, prąd porwał, i niósł je w szalonym pędzie przez staw aż ku grobli, gdzie się wielka ilość jaj roztrzaskała. Tak rodzice pozbawione na ten rok swej rodziny, nie pomyślały już o scieleniu sobie gniazd nowych, i dbając tylko o dobrobyt chwilowy, stały się wkrótce istną plagą całej okolicy. Stada składające się z kilkuset sztuk spadały w postaci szarańczy na okoliczne zboża. Przeszło 100-morgowy łan jęczmienia nad stawem nawidzały ustawicznie, żadne straszaki, żadne odganiania nie pomogły, dzień i noc ta tłuszcza grasowała po nim bezkarnie, bo ją ustawa ochrania. Dość że ten łan tak wyglądał, jak n. p. ziemia słowiańska, nad którą dobroczynna cywilizacya germańska swe skrzydła rozciągnie. Ostatecznym było rezultatem, iż część tego łanu trzeba było przeorać i hreczką zasiać. Osobiste nawet pomijając krzywdy, podnieść tu muszę tę okoliczność, że gęś dzika na ochronę ze strony ustawy bynajmniej nie zasługuje, i jako szkodnik powinna być uważaną, gdyż sam widziałem niwy włościańskie, stanowiące może jedyny majątek i dobytek całej rodziny, zupełnie zniszczone napadem dzikich gęsi. Wiele mnie jako myśliwego kosztuje wypowiedzenie tego zdania, i zaniesienie tak krwawej skargi przed wysoki trybunał myśliwski, ale, jak to już wypowiedziałem, zdobywam się na czyn bohaterski i jawnie twierdzę, iż w kraju naszym gęś dzika powinna być w przyszłości za szkodnika ogłoszoną i nie powinna znać żadnej ochrony. Gdyby Komisya wybrana przez ogólne zgromadzenie Towarzystwa łowieckiego miała co przeciw temu, bardzo byłbym szczęśliwym, gdybym mógł usłyszeć jej zdanie. Choćby nawet gromy cisnęła na ten mój wniosek, uległbym w pokorze i byłbym szczęśliwym, że choć w ten sposób przebudziłem ją z letargu, i przyszlibyśmy do przekonania, że ona przecież żyje jeszcze.

Leopold hr. Starzeński.

KRONIKA.

Wykaz ubitej zwierzyny w Galcyi w r. 1884. według podań c. k. Starostw.

Pożytecznej: jeleni 51, danicli 18, sarn 5023, kozic 0, dzików 1049, zajęcy 46.650, królików 49, głuszców 42, cietrzewi 454, jarząbków 1052, bażantów 303, kuropatw 14.770, przepiórek 26.194, słonek 6489, kszyków 16.926, dzikich gęsi 354, dzikich kaczek 17.143. Szkodliwej: niedźwiedzi 21, wilków 96, rysiów 21, lisów 4926, kun 582, tchórzów 502, wydr 181, zbików 137, borsuków 254, orłów 232, puhaczów 241, jastrzębi, sokołów, krogulców 5611, sów 1226.

Jeleni ubito: Bohorodczany 4, Dolina 3, Kałusz 4, Kraków 27, Nisko 7. Dzików najwięcej: Buczacz 30, Dolina 92, Jasło 95, Kałusz 41, Kamionka strum. 31, Lisko 30, Nadworna 59, Nisko 40, Sokal 39, Żydaczów 29. Głuszców: Dolina 8, Kossów 16, Nadworna 13. Cietrzewi: Bohorodczany 8, Brody 6, Chrzanów 107, Dolina 8, Kałusz 16, Kamionka strum. 35, Kołomyja 8, Limanowa 24, Nadworna 34, Nisko 35, Przemyśl 30, Rawa 31, Zaleszczyki 75, Żółkiew 16. Bażantów: Chrzanów 37, Husiatyn 28, Przemyśl 15, Ropczyce 10, Tarnopol 60, Wadowice 113. Kuropatw nad 100: Bochnia 150, Borszczów 163, Brzesko 605, Chrzanów 1761, Gorlice 380, Jarosław 120, Jasło 515, Jaworów 139, Kamionka strum. 388, Kosów 400, Kraków 157, Łańcut 149, Lisko 180, Lwów 210, Mielec 260, Mościska 500, Myślenice 170, Nisko 289, Nowy Sącz 120, Pilzno 280, Podhajce 470, Przemyśl 320, Rawa 413, Ropczyce 154, Rzeszów 800, Sambor 200, Tarnobrzeg 460, Tarnów 123, Tłumacz 170, Wadowice 461, Wieliczka 120, Zaleszczyki 448, Złoczów 600, Żółkiew 341. Zajęcy nad 1000: Biała 1549, Borszczów 1792, Brzesko 1056, Chrzanów 4535, Jasło 1360, Kamionka strum. 1113, Kołomyja 1200, Limanowa 1150, Rzeszów 1600, Tarnobrzeg 1500, Wadowice 1355, Złoczów 1970. Słonek nad 100: Bochnia 400, Borszczów 246, Brzeżany 118, Cieszanów 160, Jasło 820, Jaworów 153, Kamionka strum. 158, Lisko 130, Mościska 160, Podhajce 130, Rzeszów 200, Sambor 350, Sokal 270, Tłumacz 163, Trembowla 144, Zaleszczyki 152, Złoczów 520. Niedźwiedzi: Dolina 6, Nadwórna 4, Stryj 4. Wilków: Borszczów 3, Cieszanów 3, Dolina 3, Husiatyn 4, Kamionka strum. 5, Kołomyja 5, Kosów 8, Lisko 4, Nadworna 3, Nowy Sącz 3, Przemyślany 4, Sokal 9, Staremiasto 3, Stryj 8, Zbaraż 3, Złoczów 5, Żółkiew 8. Rysiów: Bohorodczany 1, Dolina 9, Kałusz 3, Lisko 1, Nadworna 4, Nowytarg 1, Żydaczów 1. Lisów nad 100: Bóbrka 198, Brzesko 166, Brzeżany 108, Chrzanów 123, Cieszanów 110, Jasło 115, Kamionka strum. 175, Lisko 280, Nisko 162, Pilzno 110, Rawa 102, Zaleszczyki 127, Złoczów 198, Żywiec 141. Liczby zbików nie podajemy, bo ona jest niepewną, zwykle bowiem umieszcza się w niej także zdziczałe koty domowe.

Pan radca lasowy Gustaw Lettner, któremu przesyłanie wykazów co roku zawdzięczamy, dodaje, iż podana w wykazie liczba pardw i kamionek jest nieprawdopodobną, z którem twierdzeniem jego zupełnie się zgadzamy.

Szan. czytelnicy „Łowca" raczą porównać niniejszy wykaz z takimi z lat poprzednich, a to porównanie da im przybliżony obraz zwierzostanu w kraju naszym.

Zwracamy uwagę na dzieło ważne dla myśliwstwa w Austryi pod tyt: *Handbuch enthaltend die Gesetze, dann Erkenntnisse und Erlässe der obersten Instanzen und des k. k. Verwaltungsgerichtshofes, betreffend die Jagdbarkeit, den hierauf Bezug habenden Vogelfang, das Jagdaufsichtspersonale; die Wildschäden — und Process — (Commissions- und Vertrettungskosten, dann das Fischereirecht in Oesterreich von Johann Jagierek. Wien 1885.* Nieoprawne kosztuje 50 ct. w eleganckiej oprawie 90 ct. Jest to zbiór wszystkich ustaw, dotyczących

myśliwstwa, jedyny, jaki daje zupełny obraz ustawodawstwa myśliwskiego w Austryi.

Kamienna, Czerwiec.

Prosząc p. Walewskiego w korespondencyi mojej z Maja o wyjaśnienie, anim marzył kogokolwiek dla jakiegoś systemu broni zjednywać, ani też przeciw któremu z nich występować, w czem odwołuję się do sądu łaskawych czytelników mojej korespondencyi. Przemawiałem wyłącznie przeciw strzelbie p. Walewskiego, a uczyniłbym to nie tylko w obec Teschnerówki, ale w obec strzelby jakiegokolwiek systemu. Ściągnąłem z tego powodu jego gniew na siebie, a jednak nie moja w tem wina, że, jak sam przyznaje, nie dał w swej korespondencyi dokładnego i szczegółowego opisu. Dziwny jest sposób odpowiedzi p. W., który mi nawet otwarcie kłamstwo zarzuca i radzi moją strzelbę do muzeum odesłać, czego nie uczynię, bo wolę z nią polować, jak oddać dla przyjemności pana W. na pastwę rdzy. Powinienbym całą logikę pana W. pozostawić sądowi czytelników „Łowca“, ale z powyższych powodów muszę mu radzić, aby był łaskaw przeczytać wszystkie korespondencye „Łowca“, z których się przekona, że jest tam mowa o niejednym nadzwyczajnym strzale z Teschnerówki, jak n. p. o zabitym z niej odyńcu śrótem nru 4. i wielu innych, a nikt przeciw temu nie protestował, bo były to rzeczywiście strzały, zaszczyt strzelbie przynoszące. Ja obecnie wiernie memu twierdzeniu utrzymuję, że ani Teschnerówce pana W., ani strzelbie kucharza istotnej dobroci przyznać nie należy, kiedy na tak krótką metę całe dwa naboje w wilku, w tak drażliwem miejscu utkwiły, a jednak tak daleką odległość przebiedz mógł, chyba że organizm tego wilka był niezwykłym, o czem sz. medycy tylko mogliby nam dać wyjaśnienie. Co do zarzuconego mi kłamstwa, ośmielę się odesłać pana W. do znajomych moich w Stanisławowskiem, Kołomyjskiem i dalszej okolicy, którzy zapewne go upewnią, że wcale do tych nie należę, którzy o swoich strzałach i strzelbach przesadne pochwały głoszą. Jako dowód, że skromna Lankastrówka rzeczywiście dobrze bije, posyłam sz. Redakcyi strzelane z niej miedziaki śrótem na 25 kroków, które każdej chwili interesowany może oglądnąć.

G. Głuchowski.

Z Wileńskiej gubernii.

Wyczytawszy w 6. nrze „Łowca“ sposób leczenia wścieklizny za pomocą jastrzębca *(Heratium Pilosella)*, pospieszam z doniesieniem, iż zdarzyło mi się mówić z człowiekiem, znającym cały opisany wypadek, lekarza i sposób leczenia. Zapewnił on mnie, iż jastrzębiec, zażyty w wielkiej ilości, istotnie często pomaga, czasem jednak okazuje się bezskutecznym mimo prawidłowego użycia. Wskazano mi też inne lekarstwo w skutkach niezawodne. W miesiącu Maju pojawia się na różach i spirei żuk tęgopokrywy, wielkości chrząszcza majowego, ale więcej płaski, koloru złocisto-zielonkowatego, zwanego *Cetonia aurata*. Zbiera się go, suszy, trze i proszek zadaje choremu, dzieciom pół łyżeczki kawowej, równo zestrychowanej, dorosłym całą łyżeczkę. W godzinę lub wcześniej po przyjęciu lekarstwa, w razie istotnego zakażenia, następuje silny sen i poty, nader zbawienne. Gdyby sen nie następował, trzeba powtórzyć dozę. Sam żuk czyli chrząszcz zielono-złocisty ma między odwłokiem a głową widoczny trójkąt, na skrzydłach czyli pokrywach odwłoku kilka jasnych, krótkich, poprzecznych pasków. Spód tego chrząszcza jest miedziano-złocisty, bardzo mało w zielone wpadający, z rzadka kosmaty. Gdyby wypadek zdarzył się w porze, gdy chrząszczów nie ma, ani zapasu proszku, trzeba przekopać mrowisko jakie, w jego bowiem spodzie mieści się poczwarka Cetonii, mianowicie w kulce z gliny, wielkości czasem orzecha włoskiego. Kulkę tę należy rozbić, wyjąć poczwarkę lub też znajdującego się czasem w niej żuka i postąpić jak wyżej podano. Nie wiem, czy panom naturalistom znany ten sposób zimowania poczwarki, mogę o nim zapewnić. Lekarstwo to polecono mi jako pewny środek. Wkrótce doniosę Wam o bardzo starożytnym środku, zwanym tu „kamień kobra“, który to kamień przez setki lat z rodziny w rodzinę przechodzi.

Przyleczyński.

Klebanówka 23. Maja.

Donoszę o następującym ciekawym wypadku. Przed trzema tygodniami wykopałem lisią jamę i znalazłem piętnaście lisiąt, całkiem jeszcze małych, koloru ciemno-brunatnego i samicę matkę. Przywiozłem wszystkie żywe do domu. Młode lisięta jadły dobrze mięso i gryzły się między sobą o takowe, ssały starą jak szczenięta. Ponieważ wszystkie lisięta były zupełnie jednakowe i jednej wielkości, a lisica wszystkim zarówno dawała ssać i jedna tylko była jama, musiały być przeto wszystkie lisięta od jednej samicy.

Tadeusz Fedorowicz.

Z nad brzegów Stryja.

Jak mnich pobożny zawsze z różańcem, tak ja leśnik z zawodu zawsze z moją strzelbą po staremu pistonówkę, bo tu w naszej zapadłej okolicy łatwiej o proch, śrót i pistony, jak o łuski nabojowe, których nie dostać nawet u wielkiego kupca w Turce Schächtera, zapewniającego zawsze z dumą: „u mnie dostanie wsistkiemu“. Otóż pewnego majowego poranka r. b. dążę do połaci lasu, u którego stóp płynie rzeka Stryj, więc chcąc się dostać do kniei trzeba łódką przepłynąć lub zakasawszy hajdawery przebrnąć. Kroczę tedy ścieżynką, wiodącą środkiem wysokich łóz do miejsca, gdzie upięta łódka przewozowa. Po drodze tuż nad głową moją przeciągnęły trzy parki kaczek, porwałem się do strzelby lecz zreflektowałem się, *„crescite et multiplicamini“*, wyrzekłem i nie strzeliłem nawet do kaczora, którego łatwo po zielonej główce rozróżnić mogłem, tak blisko przelatywały owe parki. Ruszyłem dalej zadowolony z siebie, iż zwalczyłem pokusę, wtem zaszeleściło coś w krzaku łozowym, i wnet ujrzałem dziwne zjawisko — stworzenie jakieś szczególnego kształtu i barwy, bo srokate, które w kilku susach skoczyło w Stryj, na chwilę niknąc pod wodą. Po chwili wynurzył się naprzód kot ogromny, po nim zając. Pierwszemu posłałem nabój kaczego śrótu, poczem powtórnie się zanurzył, ale wypłynął martwy na powierzchnię, a zając mocno prychając popłynął Stryjem na drugi brzeg. Doszedłszy do łódki puściłem się za martwym kotem. Był to zwykły kot domowy barwy srokatej, zdziczały, więc kłusownik z zawodu. Wskoczył on na grzbiet starego zająca, który wszakże w bliskiej wodzie pozbył się groźnego wroga. Ileż to taki zdziczały kot, włóczący się po polach i w lesie, uczyni szkody w zwierzynie czworonożnej i ptactwie. Kot mały dybie za ptakami, wyszukując gniazda na ziemi i po drzewach, wielki, szczególnie kocur chwyta zające nawet stare. Więc nie ma łaski dla kota w polu i w lesie, gdy dojdzie lat 4 lub 5, to już mały z niego pożytek w domu, a ogromna szkoda w zwierzynie.

Lewkun.

Lubzina w Czerwcu 1885.

W ostatnich latach rozmnożyły się w naszych stronach dziki, dotąd jedynie i to niestale w lasach Braciejowy, przebywające, wyrządzając dość znaczne szkody w polach. Wskutek skarg włościan gmin Sepnicy, Okonina, Łopuchowej i Stobierny, zarządziło c. k. Starostwo w Ropczycach w bieżącym roku już dwie obławy, które jednak, zwłaszcza druga, dla braku sprężystego i umiejętnego kierownictwa, jakoteż wskutek oburzająco niechętnego i niesfornego zachowania się nagonki z okolicznych gmin, przez żandarmów spędzonej, pozostały bez rezultatu, jak zwykle zresztą t. z. urzędowe obławy.

Ponieważ mój lasek jak również i pola, przez dziki często w nocy bywały nawidzane, nieruszałem się nigdy w moich częstych wycieczkach leśnych bez kuli w lufie z domu. Dnia 2. b. m. idąc drożyną leśną nad parowem, gęsto młodą buczyną zarośniętym, posłyszałem, że coś w parowie przedemną pomknęło. Stanąłem nieruchomy śledząc wzrokiem mniemanego rogacza, który również przystanął gdzieś w gąszczu. Nie mogąc jednak nic dojrzeć, podszedłem parę kroków naprzód drogą, w tem powtórny łomot i dwukrotne fuknięcie objaśniły mnie, z kim mam do czynienia. Jakoż po chwilce ujrzałem na przeciwległym zboczu parowu, nie dalej jak 30 kroków odemnie stojącego w gąszczu dzika, tak jednak zakrytego, że kształtów rozeznać nie mogłem. Prawdziwy kłopot, niewiedziałem gdzie mierzyć. Czasu do namysłu nie było, wziąwszy na cel jak mi się zdawało łopatkę, posłałem mu kulę z mojej Tesznerówki, która trafiwszy szczęśliwie w komorę przeszyła go na wylot, kładąc na miejscu ku wielkiej mojej radości, gdyż to pierwszy dzik, z którym miałem szczęście się spotkać i to w tak niespodziewany sposób. 16. Maja b. r. zerwała się przedemną na drodze leśnej słonka, która zaledwie o kilka kroków zapadłszy w gąszczu, zaczęła biegać chrapiąc i bijąc skrzydłami. Zdumiony tem jej zachowaniem, rozglądam się baczniej i widzę u moich nóg na drodze 3 młode przytulone w trawie. Pomny słów biblijnych: „Miłujcie się i rozmnażajcie“ trąciłem każdą z nich z lekka palcem, poczem piszcząc i otwierając skrzydełka pobiegły ku matce. Pożegnałem je życzeniem. „do widzenia we Wrześniu“, jeżli do tego czasu lis lub jastrząb nie ubiegnie mnie nie bacząc, ani na ustawę łowiecką ani na niepełnoletność nieboraczek. W dzień później spostrzegłem wieczorem na małej łączce w lesie przyczajonego kota, a obok niego na 3 kroki najdalej spokojnie żerującego zająca. Rabuś kot zoczywszy mię, skoczył w gęstwinę nim zdołałem strzelbę z ramienia ściągnąć, zając zaś, który mnie niespostrzegł, ale kota czarno-żółto-białego jednak widzieć musiał, ani się ruszył. Miałżeby stary zając kota nie bać się wcale, kiedy tak zgodnie. prawdopodobnie dłuższy czas w tak bliskiem sąsiedztwie, każdy swemu zajęciu się oddawał? Dodać muszę, że kot wcale nie na zająca się czaił, gdyż był do niego tyłem odwrócony.

T. Kozakiewicz.

Z nad Sanu.

Wybaczcie panowie myśliwi na równinach, czyli po naszemu na dołach, wy nimi prawie nie jesteście. Wynikło to ze zmiany stosunków i reform, zaprowadzonych w łowiectwie. Czy to lepsze pozwalam sobie wątpić. Wprawdzie dawno łowiectwo polskie, istne rycerskie zapasy, przeminęły na zawsze i podobno wskrzesić się nie da; ale też nowomodne, wygodne wyprawy mordercze, tak daleko niestety od dawnego odbiegły, iż zaledwo na to miano zasługują. My w górach z woli czy pomimo woli trzymamy się dawnych obyczajów, polując z psami, mamy też niezawodnie lepszych, jak wasi, myśliwych. Polując z psami gończymi sam lub z niewielką liczbą towarzyszów w kniejach rozległych i nie wszędzie przystępnych, gdy nie znasz natury zwierza i z praktyki nie nabyłeś obszernej wiedzy, to lepiej pozostań w domu, „szkoda czasu i atłasu". Staniesz murem na miejscu, jak każe regulamin, wprowadzony dla łowów z nagonką, to stójże sobie szczęśliwie, lub połóż się i zaśnij, bo zwierza, gonionego przez psy, nie ujrzysz chyba jakimś nadzwyczajnym przypadkiem, nie poznasz omyka zająca, ni serwetki sarniej. Musisz tedy żwawo ruszać za ogonem w głąb kniei lub na jej krańce i stanąć na znanych, niezawodnych przesmykach, kędy zwierzyna musi przejść, bo ona ma swoje zwyczaje. Jeśli je znasz, toś prawdziwy myśliwy nie fryc, którego zasadą tylko: nabij. zabij! Na tej zasadzie wcale nie opiera się sztuka łowiecka. A łowiectwo jest sztuką, jest umiejętnością. A wieluż to mamy takich prawdziwych myśliwych! W obec dzisiejszych reform i przeobrażeń wydaje się ta umiejętność dla łowców z nagonką być niepotrzebną, bo dosyć jest mieć dobrą, dalekonośną strzelbę i mordować zapamiętale bez względu na skutki tych bezmyślnych mordów. Urządzać takie łowy każdy potrafi i bić zwierzynę także. Dawniej na dworach pańskich trzymano osobnych łowczych, których obowiązkiem było urządzać łowy z niemałym na ten cel przeznaczonym aparatem; dziś pełnią tę funkcyę leśniczowie. Jeżeli który z nich jest wychowańcem wsi, i w dziecinnych już latach nabył wiadomości, to z zapałem i dobrą wolą rozszerza je na korzyść łowiectwa z pomocą nabytej teoretycznej wiedzy; ale mieszczuch, znający przyrodę tylko z książki, z celującym postępem zdawszy examina i objąwszy posadę, będzie tęgim leśnikiem, ale nie myśliwym. Widziałem takich leśniczych, znali oni faunę całego świata, gdy jednak przyszło urządzić polowanie na mizernego szaraka, nie mogli sobie dać rady mimo znajomości znakomitego Brehma. Wybornie opisał takiego leśniczego hr. Leopold Starzeński, za drogie pieniądze z Niemiec lub Czech sprowadzonego. Znał on najdokładniej stan zwierzyny, wiedział, ile w każdym miocie sarn, dzików, zajęcy, nawet wron, a polowanie zadało kłam tej bladze. Znam niektóre prowincye państwa austryackiego. wiem też, jakich leśniczych wydają tamtejsze niższe i wyższe szkoły leśniczowskie. Z wyjątkiem Tyrolu, Austryi górnej, Styryi i Czech w okolicach górskich, gdzie po dawnemu poluje się z ogarami na grubszą zwierzynę, reszta niegórzystych prowincyi nie posiada wcale grubszej zwierzyny, chyba w zwierzyńcach. Więc leśniczy umie doskonale urządzić polowanie w zwierzyńcu lub parku, zna dokładnie reguły zakładania ich i konserwacyi zwierzyny, ale w otwartej, dzikiej kniei, musiałby pierwszeństwo ustąpić lada naszemu gajowemu. Nie lepsi są też nasi leśniczowie, kształceni w szkole gospodarstwa lasowego. Kiedyż wreszcie doczekamy się tylokrotnie w „Łowcu" obiecywanej katedry nauki łowiectwa w tej szkole? Leśnik a łowiec — to jedność nierozłączna, nie jest tęgim leśnikiem, kto nie jest myśliwym, bo mu brak umiłowania przyrody, której w takim razie nie bada, więc nie zna. Łowiectwo straciło dziś cechę czczej rozrywki, stało się umiejętnością, przynoszącą realne korzyści. Szkoła gospodarstwa lasowego powinna kształcić wszechstronnie, więc o nauce łowiectwa, jako części składowej całego obszaru nauk, zapominać nie może. Domaga się tego ogólny głos posiadaczy lasów, dla których dzisiejsi wychowańcy szkoły wcale pod względem łowiectwa, źródła również ich dochodu, nie wystarczają. Wszakże kuratorem tej szkoły jest przezacny, znakomity myśliwy hr. Włodzimirz Dzieduszycki, do niego apelujemy w tej nader ważnej sprawie!!! *L.*

Ogłoszenia.

Przypominamy Sz. Członkom, którzy dotąd wkładki rocznej nie uiścili, iż według Statutu powinni oni to uczynić w przeciągu pierwszych trzech miesięcy roku pod wskazanym w tymże Statucie rygorem.

Upraszamy wszystkie krajowe Towarzystwa myśliwskie, a szczególnie Towarzystwo rybackie w Krakowie o wczesne podanie zmian. dotyczących ich organizacyi i zakresu działania, dla Kalendarza myśliwskiego i rybackiego na rok następny.

INSERATY.



Jedynie nagrodzona

na

WYSTAWIE

KRAJOWEJ



FABRYKA I SKŁAD BRONI

ALFREDA DZIKOWSKIEGO

ulica Karola Ludwika l. 1. we Lwowie

Filia w Tarnopolu.

Poleca na sezon polowań

BROŃ MYŚLIWSKĄ.

500 dubeltówek systemu Lancastra

z pierwszorzędnych fabryk, znajduje się na składzie.

Jedyny skład na Galicyę

Iglicówek systemu Teschnera oraz Lancastrówek „DIANA"

wyrobu Henri Piepera w Liege, po cenach fabrycznych.

Broń dla dam i dzieci

Dubeltówki i pojedynki systemu Lancastra, Lefaucheux i kapslowe w kalibrach 20. 24 i 28. Sztućce i pistolety Floberta. Strzelbki i pistolety wiatrowe do strzelania bolcami i kulkami.

Największy skład patronów

do wszystkich dotąd istniejących systemów i kalibrów.

Przybory do dresowania wyżłów

t. j. korale najrozmaitszych konstrukcyi, obróże, harapy, linewki, rzemienie i łańcuszki do prowadzenia psów.

Chodaki dla myśliwych do błota i gór.

Wabiki na rogacze najdokładniej nastrojone.

Torby myśliwskie, siatki do noszenia ptactwa, troki w różnych gatunkach.

Maszyny systemu Bogardusa

do wyrzucania kul szklannych, oraz i kule, napełnione pierzem lub bez tegoż.

Cennik bogato ilustrowany oraz wzory patronów do strzelb wysełą na każde żądanie franco.

Niniejszem podaję do wiadomości, że mam do zbycia

dwa ogromne puhacze

(strix bubo)

używane zwykle do tępienia drapieżnego ptactwa.

Cena z klatką i kosztem przesyłki do Lwowa 25 zł. od sztuki.

Adres: **Józef Chobrzyński w Zastawnie na Bukowinie.**

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.